



**Kanon
wolnych
Polaków**

Spis treści

Zszywanie Polski 4

Ewa Buczek, Zbigniew Nosowski

Batalie o niezawisłość 10

Aleksander Mogilnicki

Stanisław Zakroczyński

Solidarnie bez przemocy 22

Alina Pienkowska

Bartosz Bartosik

Bez licytacji krzywd 34

Jerzy Kłoczowski

Agnieszka Magdziak-Miszewska

Śląski borderline 45

bp Alfons Nossol

Andrzej Kerner

Trzeba nam samym robić

nasze życie 56

Irena Kosmowska

Ewa Buczek

Ćwiczenia z empatii 68

Halina Skibniewska

Beata Chomętowska

Ból ludzi bólem Kościoła 79

ks. Franciszek Blachnicki

Zbigniew Nosowski

Ociosywanie traumy 90

Tadeusz Różewicz

Krzysztof Biedrzycki

Autorzy 100

Zszywanie Polski

Ewa Buczek,
Zbigniew Nosowski

Ostatnie sto lat to nie tylko zryw do walki o niepodległość. Warto tak czytać historię polskiej wolności, aby dostarczała wskazówek, jak obecnie żyć w wolnym kraju. Potrzebujemy wzorców na czas pokoju – i w naszej historii bez problemu znajdziemy ich dziesiątki.

Uważny obserwator historii Polski ostatniego stulecia bez trudu dostrzeże, że jej lejtmotywem – nawracającym regularnie niemal w każdym pokoleniu – jest konieczność odbudowy kraju. Nie inaczej jest obecnie. W roku uroczystego świętowania stulecia odzyskania niepodległości w pewnym sensie Polskę trzeba znowu zaczynać budować od nowa. Rzecz jasna, w zupełnie innym znaczeniu „od nowa” niż w latach 1918, 1945 i 1989.

Dzisiejsze zaczynanie „od nowa” wyznaczone jest zwłaszcza przez – narastające dramatycznie, szczególnie od ośmiu lat – głębokie podziały społeczne, które sprawiają, że przy

wielu polskich rodzinnych stołach nie da się już rozmawiać o polityce. W drugie stulecie odzyskanej w 1918 roku niepodległości wchodzimy jako Polacy głęboko politycznie spolaryzowani.

Widać w tej sytuacji olbrzymią potrzebę resetu – nowego podejścia do państwa, nowego doświadczenia wspólnoty narodowej. Czuć tęsknotę za państwem, które przestanie być partyjnym łupem i z którym będą mogli się utożsamiać także oponenti każdej ekipy akurat rządzącej. I za taką wspólnotą narodową, w której będzie miejsce na głębokie nawet różnice ideowe i wynikające z nich spory – ale też na świadomość dobra wspólnego. Niezależnie od wszelkich istniejących różnic w ocenach sytuacji politycznej ludzie odpowiedzialnie myślący o Polsce zgodzą się, że nie jest zdrowa i nie służy dobrze przyszłości narodu sytuacja, w której kolejne ekipy rządzące będą się na zmianę wyklinać jako zdrajców narodu lub wrogów demokracji – prowadząc w konsekwencji u swych zwolenników do poczucia wykluczenia i wyobcowania ze struktur państwa, gdy rządzą ci drudzy...

Historia polskiej wolności

Trzeba więc na nowo poszukiwać w polskiej tradycji źródeł inspiracji na przyszłość. Warto odwoływać się zwłaszcza do tej istotnej części dobra wspólnego, jaką jest wspólne dziedzictwo kulturowe: doświadczenia osób, które żyły przed nami i swoim działaniem pokazywały, na ile wspaniałych sposobów może przejawiać się patriotyzm, jak można budować z poświęceniem i oddaniem swoje państwo, jak zmieniać rzeczywistość, wykorzystując własne talenty i możliwości.

Myśląc o naszej wspólnotowej przeszłości, nie sposób jednak uciec od wrażenia, że w polskiej narracji historycznej ostatnich lat dużo częściej mówi się o tym, jak pięknie umierać, niż jak pięknie żyć. A przecież minione sto lat to nie tylko czas wojen i okupacji, ale także okresy stabilizacji,

w których można było odłożyć broń, wyjść z konspiracji i współtworzyć lepszą codzienność. To nie tylko zrywy do walki o wolność, ale też powszednie czynienie z niej mądrego użytku.

Warto tak czytać historię polskiej wolności, aby dostarczała wskazówek, jak obecnie żyć w wolnym kraju. Potrzebujemy jako wspólnota narodowa wzorców na czas pokoju – i w naszej historii bez problemu znajdziemy ich dziesiątki. Ostatnie sto lat w Polsce to przecież – obok czynu zbrojnego – również wielka skarbnica doświadczeń, jakie powinny składać się na mądrość narodu chcącego świadomie budować swoje państwo i jego pozycję w Europie i świecie. To tworzenie instytucji niepodległego państwa po latach zaborów, „zszywanie” Polski z trzech odmiennych kawałków, odbudowa kraju po katakлизmie II wojny, zasiedlanie i osvajanie Ziemi Odzyskanych, wielkie procesy pojednania z sąsiednimi narodami, emancypacja kobiet, unarodowienie chłopów, wchodzenie w nowoczesność, etos walki bez przemocy, wiele wybitnych dzieł twórców kultury. Polskie doświadczenia dziejowe mogą być źródłem dumy, że umieliśmy sobie poradzić z wieloma wyzwaniami pomimo tragicznych okoliczności – takich jak klęski dwóch totalitaryzmów, kolonialna polityka ZSRR, ogromne straty wojenne.

Za każdą zmianą stoi człowiek

Przedstawiany tu „Kanon wolnych Polaków” powstał w odpowiedzi na opisaną wyżej potrzebę. Ten zbiór ośmiu krótkich tekstów to – zainspirowana przez Jacka Cichockiego – propozycja takiego ujęcia polskiej historii ostatnich stu lat, które pozwoli wydobyć z przeszłości pewne procesy kształtujące naszą tożsamość, a zarazem mające istotne znaczenie przy mierzeniu się z wyzwaniami stojącymi dziś przed Polakami.

Nasz „Kanon wolnych Polaków” jest zdecydowanie niewyczerpujący i niezamknięty. Bez trudu można przytoczyć inne nazwiska i odwołać się do innych zjawisk. Każdy wybór jest

W „Kanonie wolnych Polaków” chcieliśmy opowiadać o ludziach z krwi i kości, a nie tylko o suchych faktach – bo przecież za każdą zmianą społeczną stoi człowiek.



z natury subiektywny, nie inaczej jest tym razem. W swoim doborze kierowaliśmy się raczej potrzebą ukazania w miarę szerokiego spektrum postaw obywatelskich, chęcią przybliżenia różnorodnych dróg pozwalających realizować powołanie do budowania lepszego świata.

Każdy z tekstów „Kanonu wolnych Polaków” prezentuje jeden wybrany proces historyczny i jednego bohatera. Chcieliśmy opowiadać o ludziach z krwi i kości, a nie tylko o suchych faktach – bo przecież za każdą zmianą społeczną stoi człowiek. Wśród przywoływanych postaci są ludzie dobrze znani, ale nie brakuje również tych nieoczywistych, zapoznanych lub nieznanymi, a wartych przypomnienia. Jest tu więc prawnik-państwowiec walczący o sędziowską niezawisłość w II RP. Jest pielęgniarka prowadząca lud do solidarnej walki bez przemocy. Jest historyk konsekwentnie dążący do pojednania polsko-ukraińskiego. Jest biskup Ślązak, któremu „prawdziwi Polacy” nieraz zarzucali niemieckość. Jest międzywojenna działaczka ruchu ludowego dążąca do „uobywatelnienia” chłopów. Jest architektka, która w czasach gospodarki niedoboru uparła się budować tak, żeby ludziom mieszkało się dobrze. Jest duchowny wychowujący w PRL i do świadomej wiary, i do zaangażowania obywatelskiego. Jest wreszcie poeta ociosujący traumę II wojny światowej, by na nowo poukładać wartości.

Co ich łączy? Patetycznie, ale prawdziwie mówiąc: polskość. Ale także rozumienie życia jako wezwania, by coś z siebie dać innym. Każdy z bohaterów w inny sposób walczył o coś ważnego – niektórzy także militarnie. Wszyscy jako obywatele byli ludźmi wolnymi do służby innym – nie tylko wolnymi od różnych krępujących więzów. To była ich osobista realizacja tradycyjnej polskiej walki „za wolność waszą i naszą”...

Historia nauczycielką nadziei

Te krótkie teksty staną się wkrótce podstawą do otwartej dyskusji z udziałem młodzieży w trakcie seminarium

zorganizowanego wraz z Klubem Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Mają one bowiem inspirować do tego, by mądrze odpowiadać na dzisiejsze wyzwania i jak najpełniej wykorzystywać polski potencjał wspólnotowy.

Wierzymy, że zaprezentowane przez nas w „Kanonie wolnych Polaków” tematy i bohaterowie to dopiero początek wielkiej opowieści, którą można dalej rozwijać – w codziennych rozmowach i wielkich debatach. Publikując te teksty, zachęcamy naszych Czytelników, aby – w nawiązaniu do tych przykładów z przeszłości – rozmawiali w gronie rodziny, przyjaciół czy współpracowników o tym, jak dzisiaj i jutro być wolną Polką i wolnym Polakiem.

Świat cierpi dziś na deficyt nadziei. Wzmagają się niepokoje o przyszłość. Chcielibyśmy, aby historia polskiej wolności stała się nie tylko *magistra vitae*, ale też nauczycielką nadziei. Czy spojrzenie w przeszłość pozwoli ożywić nadzieję, że to i owo może się jeszcze nam, Polakom, udać? Na przykład zszywanie wspólnej ojczyzny z dzisiejszych pokawałkowanych części?



Batalie o niezawisłość Aleksander Mogilnicki

Stanisław Zakroczyński

Poważny problem z niezawisłością i odrębnością „trzeciej władzy” mieli i piłsudczycy po 1926 r., i komunistyczni władarze PRL, i partia obecnie rządząca. To sprawa kluczowa, bo chodzi o państwo – jako byt będący wartością, niezależnie od tego, kto w nim aktualnie rządzi.

4 lipca 2018 r., 19 grudnia 1981 r. i 23 marca 1929 r. Zapewne gdyby zadać nawet wybitnemu znawcy współczesnej historii Polski pytanie, co wspólnego mają ze sobą te trzy daty, miałyby kłopoty z odpowiedzią. Z pozoru dzieli je bowiem wszystko – epoka historyczna, panujący w Polsce ustrój, a nawet pora roku. A jednak każdą z nich można uznać za newralgiczną w historii sporu o kształt kluczowej instytucji

niepodległej Polski – sądownictwa. Sporu, o którym od trzech lat coraz głośniejsze w polskiej debacie publicznej, a w ciągu ostatniego roku stał się w niej właściwie tematem numer jeden. Sporu, któremu często nadaje się kontekst PRL-owski, zapominając jednocześnie, że zaczął się już wiele wcześniej, w II Rzeczypospolitej. Ale po kolei.

Czarne chmury nad sądami

Wydarzenia z 4 lipca 2018 r. są najlepiej znane, bo najświeższe. Tego właśnie dnia weszły w życie niekonstytucyjne przepisy ustawy o Sądzie Najwyższym, przenoszące w stan spoczynku licznych sędziów tej najważniejszej instytucji wymiaru sprawiedliwości, nie pomijając pierwszej prezes Małgorzaty Gersdorf, której sześcioletnia kadencja jest wprost zagwarantowana przepisem konstytucyjnym. Tego dnia rozpoczął się najgorętszy etap kryzysu konstytucyjnego wokół problemu niezawisłości sądownictwa III Rzeczypospolitej. Od tej chwili nie ma już nawet na poziomie formalnym zgody co do tego, kto jest władny wydawać wyroki w imieniu Rzeczypospolitej, kto ma prawo rozpatrywać kasacje od kilkunastu milionów orzeczeń, jakie corocznie zapadają w naszym kraju, oraz stwierdzać ważność wyborów, a więc w skrócie – kto ma mieć ostateczny głos przy nadawaniu realnego znaczenia literze prawa, która na papierze jest martwa.

W przeciwieństwie do gorącego dnia z lipca tego roku, kiedy tłumy Polaków asystowały profesor Gersdorf wchodzącej do gmachu Sądu Najwyższego, mroźnego styczniowego dnia 1982 r. nikt nie czekał na drobnego mężczyznę w średnim wieku zmierzającego do Ministerstwa Sprawiedliwości. Kiedy w drzwiach zatrzymał go strażnik i odmówił mu wejścia do środka, mężczyzna musiał przełknąć gorycz w samotności. Dopiero co rozpoczął się stan wojenny, aktywiści „Solidarności” siedzieli w obozach internowania albo ukrywali się, a wszelkie manifestacje polityczne kończyły się represjami.

Mowa o Adamie Strzemboszu, liderze sądowej „Solidarności”, do niedawna sędzi delegowanym do pracy naukowej

w instytucie badawczym mieszczącym się w gmachu ministerstwa. Jak się dowiedział, sędzią nie był już od dwóch tygodni, czyli od 19 grudnia 1981 r., kiedy to Rada Państwa uznała, że

znajduje się on wśród czterech szczególnie niebezpiecznych przedstawicieli judykatury, którzy w warunkach stanu wojennego „nie dają rękojmi prawidłowego wykonywania zawodu sędziego w Polsce Ludowej”. Dziś twierdzi żartobliwie, że było to dla niego największe wyróżnienie państwowe¹.

¹ Więcej o okolicznościach zwolnienia z pracy prof. Strzembosza zob. w *Między prawem i sprawiedliwością. Z Profesorem Adamem Strzemboszem rozmawia Stanisław Zakroczyński*, Warszawa 2017, s. 134–135.

Jedną z kluczowych cech ustroju PRL była wynikająca z Konstytucji z 1952 r. jednolitość władzy państwowej. Stanowi ona antytezę trójpodziału i równoważenia się władz. Sądownictwo miało być (i w dużym stopniu było) instrumentem w ręku aparatu partyjnego, nie zaś odrębną władzą sprawującą nad nim kontrolę. Nauczeni dramatycznym doświadczeniem funkcjonowania w takim systemie polscy prawnicy podjęli próbę jego zmiany, tworząc w latach 1980–1981 liczne projekty ustaw i program sądowniczy „Solidarności”, który dążył do zapewnienia sądom samorządności i gwarancji niezawisłości. Jak pięknie to wyrażono w programie „Samorządna

² Klasycznym tekstem na temat prawnych postulatów „S” jest poświęcony im rozdział w książce A. Rzeplińskiego *Sądownictwo PRL*, Warszawa 1990. Warto również zajrzeć do bardzo rzetelnego studium K. Niewińskiego *PZPR a sądownictwo w latach 1980–1985. Próby powstrzymania solidarnościowej rewolucji*, Oświęcim 2016.

Rzeczpospolita”, konieczne jest „podporządkowanie prawu wszystkich czynników życia publicznego” (Teza 23 pkt 3). Do „S” zapisał się niemal co czwarty sędzia w kraju². Tego było zbyt wiele dla rządzących, przyzwyczajonych do instrumentalnego traktowania prawa i jego sług. Zaraz po 13 grudnia postanowili wziąć sądy pod but, choć nie do końca im się to udało.

Pierwsza kruczata przeciw sądom

Komunistyczni władarze nie byli pierwszymi, którzy postanowili rozprawić się z niezależnymi sądami. Poważny problem z niezawisłością i odrębnością trzeciej władzy mieli również rządzący naszym krajem od maja 1926 r. piłsudczycy.

Kodyfikacja polskiego prawa w II RP wymagała intensywnej pracy eksperckiej ponad podziałami. Do stworzenia instytucji prawnych niezbędne były sprawne i niezależne instytucje publiczne.



W popularnej wiedzy na temat tego okresu ugruntowały się charakterystyczne cytaty z Konstytucji kwietniowej, że „Na czele Państwa stoi Prezydent. Na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy Państwa” (art. 2), zaś „funkcje rządzenia Państwem nie należą do Sejmu” (art. 31). Zapoznana została jednak zupełnie kampania władzy wykonawczej przeciwko sądom i sędziom, niezawisłym od 11 listopada 1918 r.

Stąd na naszej liście trzecia z czarnych dat. 23 marca 1929 r. do gabinetu nowego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego Leona Supińskiego został wezwany Aleksander Mogilnicki. Ten wielki polski prawnik, profesor, wieloletni adwokat, a ostatnio prezes Izby Karnej SN i współtwórca sądownictwa II RP nie mógł mieć dobrych przeczuć co do przyczyn zaproszenia. Niecałe dwa miesiące wcześniej ze stanowiska odwołany (*sic!*) został bez podania przyczyny poprzednik Supińskiego, Władysław Seyda. Tymczasem Mogilnicki wspólnie z Seydą odmówili wykonania niezgodnego z prawem polecenia ministra sprawiedliwości, Stanisława Cara, dotyczącego mianowania posłusznego władzy komisarza wyborczego. Od tego czasu obaj wybitni sędziowie znaleźli się na cenzurowanym sanacji³.

Mogilnicki nie mylił się w przypuszczeniach. W gabinecie pierwszego prezesa czekała na niego dymisja i pytanie, „ile czasu potrzebuje na zdanie kancelarii i akt”⁴.

Dwadzieścia minut później oddał gabinet następcy, pod którego rządami Izba Karna nie wydała już żadnego wyroku nieprzychylnego władzy, sam zaś powrócił do palestry i wkrótce stał się jednym z ważniejszych adwokatów w procesach politycznych, jednocześnie nie zaprzestając prac naukowych w Komisji Kodyfikacyjnej

RP, gdzie odegrał kluczową rolę przy tworzeniu jednolitych polskich kodeksów: karnego i postępowania karnego.

³ O okolicznościach tego „buntu sędziów” Aleksander Mogilnicki pisze w swoich wspomnieniach: A. Mogilnicki, *Wspomnienia adwokata i sędziego*, Warszawa 2017, s. 309–311.

⁴ Opis rozmowy tamże, s. 318–319.

W taki sposób państwo polskie odpłacało jednemu z twórców swoich instytucji.

Zszywanie Polski

Warto zatrzymać się przy tym słowie. Pojęcie „instytucja” ma w prawie dwa znaczenia. Pierwsze, częściej używane, oznacza „zakład o charakterze publicznym zajmujący się określonym zakresem spraw”. Instytucją w tym znaczeniu, powołaną i regulowaną przez prawo, są Sejm, Senat czy Sąd Najwyższy, ale również gimnazjum czy szpital powiatowy w Białej Podlaskiej. Istnieje jednak także drugie rozumienie słowa „instytucja”, według którego jest to „zespół norm prawnych dotyczących organizacji jakiejś dziedziny życia”⁵. W tym znaczeniu instytucją prawa cywilnego będzie na przykład prawo własności, zaś prawa karnego – znikoma szkodliwość społeczna czynu.

Jeden z wyświechtanych frazesów podnoszonych często w kontekście II Rzeczypospolitej mówi, że „konieczne było zszycie państwa z trzech nierównych części”. W przypadku instytucji prawa sytuacja była jednak bardziej skomplikowana. Wybitny badacz przedmiotu Dariusz Makiłła wyliczył

⁵ Definicje za: *Nowy słownik języka polskiego PWN*, Warszawa 2002, s.276.

⁶ Por. D. Makiłła, *Historia prawa polskiego*, Warszawa 2013, s.482 i nast.

pięć zasadniczych porządków prawa cywilnego obowiązujących na terenie II RP w 1918 r. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę warianty tych porządków, to otrzymamy siedem obszarów, na których obowiązywały różne prawodawstwa⁶.

Oznaczało to nie tylko konieczność stworzenia wspólnych instytucji publicznych, przede wszystkim sądów, które byłyby zdolne do ujednoczenia wykładni prawa, ale przede wszystkim potrzebę wspólnej kodyfikacji jego treści. To znaczy, że przedstawiciele wszystkich siedmiu obszarów musieli się dogadać co do jednego rozumienia słów takich jak: „umowa zlecenia” czy „strona postępowania administracyjnego”. O tym, jak trudne to było zadanie, barwnie opowiada sam Aleksander Mogilnicki w swoim pamiętniku:

7 A. Mogilnicki, *Wspomnienia adwokata i sędziego*, dz. cyt., s. 221.

„«Zawiesić areszt» w Krakowie znaczyło za-aresztować, w Warszawie – zwolnić z aresztu. «Niezwłocznie» w Warszawie znaczyło to samo co natychmiast, w Krakowie – że sprawę należy załatwić w zwykłej kolejności, bez szczególnej zwłoki”⁷.

Scalenie tych systemów było zadaniem wykraczającym poza ramy czasowe jednej kadencji parlamentu oraz – co Mogilnicki lubi podkreślać – kompetencje merytoryczne posłów, a nawet urzędników. Kodyfikacja polskiego prawa wymagała intensywnej pracy eksperckiej ponad podziałami, słowem – do stworzenia instytucji prawnych niezbędne były sprawne i niezależne instytucje publiczne.

W procesie tym kluczową rolę odgrywał Mogilnicki, sprawujący jednocześnie funkcję sekretarza generalnego Komisji Kodyfikacyjnej oraz sędziego SN. Jego wspomnienia pełne są faktów, o których nie dowie się czytelnik podręczników historii dwudziestolecia. Główniej roli nie odgrywają tu bowiem wielcy politycy, a kluczowymi zdarzeniami nie są kryzysy gabinetowe czy gospodarcze. Na pierwszy plan wysuwają się zwykli ludzie i ich dramaty życiowe, które przyprowadziły ich przed sąd, rozterki sędziego zastanawiającego się nad wyrokiem i problemy organizacyjne oraz finansowe rodzącego się polskiego sądownictwa.

Mogilnicki pisze barwnie, a nieraz żartobliwie o spóźniających się ławnikach wyzywających sędziów na pojedynki, o sędziach, którzy przez nadmiar pracy mylą uzasadnienia do wyroków, wywołując kryzysy w orzecznictwie, czy o świadkach, którzy nagle po złożeniu przysięgi zeznają zupełnie co innego niż przed jej wygłoszeniem. Wiele miejsca poświęca również swojemu naukowemu konikowi, jakim było tworzące się sądownictwo dla nieletnich i system zorganizowanej opieki nad młodocianymi przestępcami, o których wyrażał się zawsze z niezwykłą empatią.

Najwięcej troski ten wychowanek carskiego gimnazjum i zrusyfikowanego uniwersytetu, który doświadczenie zdobywał w sądach zaborcy, okazywał jednak ujednolicaniu prawa

polskiego, na które miał wpływ zarówno przez orzecznictwo, jak i prace nad nowymi paragrafami. Jest godne najwyższego podziwu, z jaką dokładnością po latach (pamiętnik pisany był „do szuflady” w latach pięćdziesiątych) odtwarzał poszczególne *casusy* i zagadnienia seminaryjne, co rusz tylko konstatując, że któryś z protagonistów zginął w 1939 r., a kolejna z drogocennych notatek spłonęła w Warszawie w 1944.

Państwowiec innego typu

Polityki do swoich wspomnień Mogilnicki nie zaprasza, tak jak nie zapraszał jej do swojego życia. Z rzadka znajdziemy w tym obszernym pamiętniku wzmianki o jego sympatiach w tej dziedzinie. Wiemy tylko, że od młodości, żywiąc patriotyczne uczucia, odnosił się z dystansem do lewicy. Interesowały go przede wszystkim instytucje, w obu wymienionych wyżej znaczeniach, a więc państwo – jako byt będący wartością, niezależnie od tego, kto w nim aktualnie rządzi. Jakość instytucji jest dla Mogilnickiego oznaką dojrzałości państwa i chyba kwintesencją patriotycznych dążeń.

Sformułowanie „państwowiec” rodzi jednoznaczne konotacje z okresem międzywojennym i w tym momencie właściwie samo cisnie się na usta. Tak, mecenas Mogilnicki bez wątpienia był państwowcem. Największy paradoks jego biografii tkwi więc w fakcie, że życie do góry nogami wywróciła mu władza mająca na ustach hasła o odrodzeniu i sanacji państwa właśnie.

W historiografii często pojawia się teza, że w przeciwieństwie do endecji, dla której pojęciem kluczowym był „naród”, piłsudczycy w centrum postawili „państwo”. I faktycznie, kiedy przyjrzymy się deklaracjom programowym BBWR, a także cytowanej już tu Konstytucji kwietniowej czy też pracom teoretyków obozu pomajowego (takich jak Wacław

Makowski, przedstawiciel tego samego co Mogilnicki pokolenia, również profesor prawa karnego⁸), zauważymy, że wyraz „państwo”

⁸ Por. fascynujące dzieło W. Makowskiego: *Państwo społeczne*, Warszawa 1936.

Jedną z istotnych cech populizmu jest kolonizacja niezależnych instytucji państwa, pośród których kluczowe miejsce zajmuje sądownictwo.



odmieniany był przez wszystkie przypadki. W głośnej ostatnio pracy o zabójstwie Gabriela Narutowicza Paweł Brykczyński postawił wręcz tezę, że opresyjna propaństwowość piłsudczyków była reakcją na odrzucenie w demokratycznych wyborach z początków lat dwudziestych wizji „narodu państwowego” i zwycięstwo endeckiej wizji „narodu etnicznego”⁹.

9 P. Brykczyński, *Gotowi na przemoc. Mord, antysemityzm i demokracja w międzywojennej Polsce*, Warszawa 2017.

Jak więc wytłumaczyć ten rozdźwięk między państwowcami z sanacji i państwowcem Mogilnickim? Poza osobistymi wycieczkami, których nie szczędzi Piłsudskiemu (nazywa go „szlacheckim warchołem”) i grupie pułkowników – i które jako oceny są pewnie przesadzone, ale zrozumiałe z przyczyn biograficznych – Mogilnicki pięknie wyjaśnia różnice między swoim i piłsudczyków propaństwowym nastawieniem, opisując zjazd prawników, który odbył się w Katowicach w 1937 r.:

Cale obrady zjazdu były prowadzone pod kątem rozdźwięku. Jedni mówcy bronili systemu państwa totalnego (aczkolwiek nikt tej nazwy nie użył), dowodząc, że dominującą ideą działalności prawników powinna być „racja stanu”, że celem wszystkiego powinno być państwo, wobec którego krzywda poszczególnych jednostek jest drobnostką, z którą nie należy się liczyć; inni stali na stanowisku, że państwo nie jest jakąś nieuchwytną abstrakcją, pochłaniającą wszystkich i wszystko, lecz jest tylko organizacją społeczną, stworzoną dla dobra swych obywateli, i że podstawą działalności państwa i jego organów powinno być ścisłe przestrzeganie prawa oraz szacunek dla wolności i godności człowieka. Te dwa zasadniczo różne poglądy zaważyły na wszystkich przemówieniach; obecni podzielili się wyraźnie na dwie odrębne grupy, które nie mogły znaleźć wspólnego języka¹⁰.

10 A. Mogilnicki, *Wspomnienia adwokata i sędziego*, dz. cyt., s. 371.

Krótko mówiąc, państwo było dla Mogilnickiego dużą wartością, ale nie wartością samą w sobie. Sprawność jego instytucji miała zagwarantować nie tylko pomyślność ogółu, ale również poszanowanie praw jednostek. To niezwykle nowoczesna, rzeklibyśmy, liberalno-demokratyczna argumentacja.

Jak zapobiec destrukcji?

Postać Mogilnickiego i jego wspomnienia mogą być dobrym przewodnikiem po dzisiejszych bolączkach państwa, które jest traktowane przez rządzącą większość jako obszar do skolonizowania. Jak słusznie zauważył Jan-Werner Müller w bardzo poczytnym ostatnio studium politologicznym populizmu, jedną z istotnych cech tego nurtu jest kolonizacja

niezależnych instytucji państwa, pośród których kluczowe miejsce zajmuje sądownictwo (poza m.in. służbą cywilną czy mediami publicznymi)¹¹. Niestety jednak o ile znajdziemy


11 J.-W. Müller, *Co to jest populizm?*, Warszawa 2017, s. 73–74.

we *Wspomnieniach adwokata i sędziego* dokładny, barwny i fachowy opis rozbiórki ledwie utworzonych i coraz skuteczniejszych instytucji, trudno tu o recepty, jak jej skutecznie uniknąć.

Wydaje się wręcz, że pamiętniki naszego bohatera unaoczniają jedną z cech, które są słabym punktem mocnych, niezależnych instytucji państwowych. Nawet jeśli działają one w interesie obywateli i na rzecz ich praw i wolności, zrozumienie sposobu ich działania wymaga fachowej wiedzy, a więc recenzja ich funkcjonowania przez wyborcę – przeciętnego członka demokratycznego suwerena, jest bardzo utrudniona. Co więcej, w słowach starego sędziego pobrzmiewa maskowane wprawdzie, ale chyba istniejące poczucie wyższości wobec przeciętnych obywateli, a także ich przedstawicieli – polityków wszelkiej maści. Dobrze to widać, kiedy krytykuje instytucje ławników sądowych nieczujących złożonej materii prawa oraz narzeka na to, jak w parlamencie psute są misterne konstrukcje prawne wypracowane przez profesorów z Komisji Kodyfikacyjnej. Wydaje się, że Mogilnicki przy

wszystkich swoich przymiotach i deklaracjach demokratycznego nastawienia nie umiał zaakceptować pewnych nieodrodnych niedoskonałości demokracji, które jednak pełnią jednocześnie funkcję jej bezpieczników.

Być może jeśli wyciągniemy odpowiednie wnioski z tego swoistego perfekcjonizmu sędziego Mogilnickiego i nauczymy się, że niezbędnym elementem trwania instytucji jest ich silne społeczne zakorzenienie i dobra komunikacja, unikniemy w przyszłości kolejnych czarnych poranków polskiego sądownictwa i innych kluczowych instytucji niepodległej Rzeczypospolitej.



Solidarnie bez przemocy

Alina Pienkowska

Bartosz Bartosik

To pewien paradoks historii, że w kraju o wielkiej, romantycznej tradycji powstańczej – kultywowanej przez kolejne władze polityczne – do głębokiej pozytywnej zmiany społecznej doprowadził ruch, który był rodzimą interpretacją metody walki bez przemocy.

Sobota, trzeci dzień sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej. Zmęczeni ludzie zastanawiają się nad rezultatem rozmów komitetu strajkowego z kierownictwem zakładu, wielu z niepokojem wspomina strajk sprzed dziesięciu lat, zakończony krwawą masakrą. Wreszcie ok. godz. 15.00 z radiowęzła płynnie komunikat o spełnieniu postulatów strajkujących, a wraz z nim apel o jak najszybsze opuszczenie zakładu pracy.

Ludzie czują ulgę na myśl o wolnej niedzieli i perspektywie spędzenia czasu z rodzinami, zaczynają wychodzić. Tadeusz Pabijan, stoczniowiec z wieloletnim doświadczeniem, zbliża się już do bramy wyjściowej. Nie słyszy rozpaczliwych kobiecych krzyków za swymi plecami, ape-lujących o pozostanie na terenie zakładu i kontynuację strajku: „A co z tamtymi ludźmi? Jak my spojrzymy w oczy wszystkim, którzy nas poparli w mieście?!”. Nagle podbiega do niego kolega i łapie go za ramię: „Dokąd idziesz? Twoja córka mówi, że musimy zostać!!!”.

Alinie Pienkowskiej – wraz z koleżankami i kolegami z komitetu strajkowego, przede wszystkim z Anną Walentynowicz i Ewą Ossowską – udaje się w ten sposób powstrzymać odpływ gdańskich stoczniowców. To był przełomowy moment w historii Europy XX wieku. Narodził się z niego strajk solidarnościowy, od którego nazwę wzięł później jeden z największych ruchów społecznych w dziejach, głoszący walkę o prawa człowieka bez użycia przemocy.

Pokojowo i skutecznie

W książce *Etyka solidarności* ks. Józef Tischner pisał, że „solidarności nie potrzeba narzucać człowiekowi z zewnątrz, przy użyciu przemocy”. Ona jest bowiem „jak ciepły promień słońca: gdziekolwiek się zatrzyma, pozostawia ciepło, które promieniuje dalej, bez przemocy. Jej chodzi tylko o jedno: aby nie stawiano jej przeszkód – głupich, bezsensownych przeszkód”¹.

Te słowa pochodzą z kazania, które filozof z Podhala wygłosił na Wawelu w październiku 1980 r. w obecności liderów „Solidarności”. Choć wypowiedziane w gorączce przełomowych wydarzeń, okazały się trafne przez długie lata – rodzący się wtedy ruch w walce o prawa pracowników, prawa człowieka i o naprawę państwa nie posunął się do użycia przemocy.

¹ J. Tischner, *Etyka solidarności oraz Homo sovieticus*, Kraków 2005, s. 13.

To pewien paradoks historii, że w kraju o wielkiej, romantycznej tradycji powstańczej – kultywowanej przez kolejne władze polityczne – do głębokiej pozytywnej zmiany społecznej doprowadził ruch, który był rodzimą interpretacją metody walki bez przemocy (*non violence*).

Jako metodę walki na rzecz pozytywnej zmiany społecznej odrzucenie przemocy (czyli *ahimsę*) rozpropagował Mahatma Gandhi, którego wielką zasługą było „przeniesienie moralnej zasady – praktykowanej w relacjach międzyoso-

bowych, najczęściej rodzinnych i sąsiedzkich – w sferę etyki społecznej”². Gandhi stał się moralnym autorytetem rozpoznawalnym na całym świecie, a wyznawana przez niego filozofia paradoksalnie obnażała bez-

bronność brytyjskich władz kolonialnych w obliczu opartego na moralności, a nie sile fizycznej, oporu wyzyskiwanego społeczeństwa. Brytyjczycy – przyzwyczajeni do tłumienia powstań na peryferiach swojego imperium za pomocą interwencji zbrojnych – nie potrafili znaleźć odpowiedzi na walkę bez przemocy.

Metodę tę wypróbowano później w wielu krajach i regionach świata, często z bardzo pozytywnym skutkiem. W niektórych państwach – jak Mozambik, Filipiny, Republika Środkowoafrykańska – organizacje odrzucające przemoc doprowadziły do zakończenia bądź zawieszenia długoletnich konfliktów zbrojnych. Warto przy tym pamiętać, że pozytywne zmiany społeczne wprowadzone tą metodą często miały niestety swoją wielką cenę – tak było na przykład w przypadku ruchu na rzecz praw obywatelskich w USA, którego twórcę i lidera Martina Luthera Kinga zamordował rasistowski ekstremista. Walka Kinga o zniesienie dyskryminacji rasowej była o tyle ważna, że połączyła istotę *non violence* z chrześcijaństwem – moralność Ewangelii znajdowała spełnienie w strategii działania bez przemocy.

Podobne podejście odnajdziemy w dorobku najważniejszych polskich myślicieli i aktywistów *non violence*.

² A.M. Wierzbicki, *Marzenie nadal inspiruje. Walka bez przemocy w XXI wieku*, „Więź” 2016, nr 4, s.12.

Ks. Tischner pisał: „solidarności nie potrzeba narzucać człowiekowi z zewnątrz, przy użyciu przemocy. [...] Ona jest jak ciepły promień słońca: gdziekolwiek się zatrzyma, pozostawia ciepło, które promieniuje dalej, bez przemocy”.



Najbardziej charyzmatycznym i konsekwentnym głosicielem odrzucenia przemocy w XX w. był w Polsce ks. Jan Zieja. Kapelan wojny polsko-bolszewickiej i polskiego podziemia II wojny światowej – w tym powstańców warszawskich – z jednej strony towarzyszył żołnierzom w najtrudniejszych chwilach, a z drugiej nieustannie napominał ich: „nie zabijaj nigdy, nikogo!”. W trakcie wojny i po jej zakończeniu przypominał o godności każdego człowieka, także Niemców, wobec których dopuszczano się – w imię zemsty – licznych zbrodni. Kapłan, który nauczył się „patrzeć na wojnę jako na coś niemoralnego, nie do pogodzenia z chrześcijaństwem” – jak opowiadał o sobie Jackowi Moskwie³ – odcisnął wyraźne piętno także na ludziach i liderach „Solidarności”, nie tylko związanych z Kościołem.

W PRL do odrzucenia przemocy w imię Ewangelii zachęcało wielu innych duchownych: Ludwik Wiśniewski OP, ks. Stanisław Bogdanowicz, a także Jacek Salij OP. Opracowana przez tego ostatniego antologia *Miłujcie nieprzyjaciół wasze* – zbierająca świadectwa miłości wroga i odrzucenia nienawiści w polskiej literaturze na przestrzeni wieków – odegrała ważną rolę formacyjną w stanie wojennym. Ojciec Salij przekonywał: „Społeczeństwo, w którym żyje prawda, iż człowiek

³ Cyt. za: M. Grochowska, *Zieja. Stoje na rynku nieugięty*, „Gazeta Wyborcza” 12.09.2011.

⁴ *Miłujcie nieprzyjaciół wasze. Miłość nieprzyjaciół w Polsce*, oprac. J. Salij OP, Paris 1983, s. 10.

jest kimś tak wielkim, że nawet nieprzyjaciela nie wolno nienawidzić, będzie ceniło raczej odwagę cywilną i męczeństwo niż pochopne albo w rozpaczy podejmowane rozruchy”⁴. Za męczennika polskiego oporu bez przemocy można uznać ks. Jerzego Popiełuszkę z Paw-

łowym zawołaniem „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj” (Rz 12,21) na ustach. Jego ostatnie wypowiedziane publicznie słowa można traktować jako duchowy testament: „Módlmy się, byśmy byli wolni od lęku, zastraszenia, ale przede wszystkim od żądzy odwetu i przemocy”.

Refleksja o odrzuceniu przemocy pojawiała się w polskim życiu intelektualnym kilka dekad przed narodzinami „Solidarności”. Jeden z pierwszych obszernych artykułów na ten

temat opublikowała „Więź” w grudniu 1958 r. Andrzej Grzegorzycy – należący do najważniejszych przedstawicieli nurtu *non violence* w naszym kraju – pisał wtedy, że Polska musi nadrobić lata powojennej izolacji intelektualnej od Europy Zachodniej, i podawał niestosowanie przemocy jako przykład idei, która w tym czasie rozwinęła się na Zachodzie. Grzegorzycy uważał, że odrzucenie przemocy w życiu społecznym jest wyrazem ewangelicznego stosunku do bliźniego: „W pełni dobre zachowanie się w sytuacji konfliktowej daje się [...] ująć przy pomocy zasady

5 A. Grzegorzycy, *O niestosowaniu przemocy*, „Więź” 1958, nr 8, s.94.

miłości nieprzyjaciół. Zasada ta ujęta od strony stosowanych środków oddziaływania wyraża się jako zasada niestosowania przemocy”⁵.

„Solidarność” stała się jednym z najważniejszych w historii świata masowych przykładów odrzucenia przemocy. Dążąc do pozytywnej zmiany społecznej, ruch posługiwał się całą paletą środków walki bez przemocy: stosował protesty, głodówki, marsze, bojkoty, satyrę polityczną, sztukę krytyczną, pisał petycje, prowadził drugi obieg wydawniczy, edukację konspiracyjną, kolportował ulotki oraz broszury itd. Wszystko razem doprowadziło do pokojowego przejęcia władzy z rąk komunistycznego reżimu.

„Panie premierze, ja mam dziecko na koloniach!”

Alina Pienkowska poznała Bogdana Borusewicza, gdy – zainteresowana możliwością publikacji – poszła pod adres wskazany w stopce „Robotnika Wybrzeża”, którego Borusewicz redagował. Trafiła akurat na moment, kiedy opowiadał on studentom Politechniki Gdańskiej o pakcie Ribbentrop–Mołotow. Gdy ją zobaczył, sądził, że rozmawia z licealistką. Zupełnie nie było po niej tego widać, ale miała już 28 lat, kilkuletniego syna i nieudane małżeństwo na koncie. Najważniejsze jednak, że była pielęgniarką na etacie w przychodni na terenie Stoczni Gdańskiej, dzięki czemu stanowiła cenny nabytek dla

działaczy opozycyjnych, którzy szukali bliższych kontaktów z robotnikami.

Krótko potem Pienkowska zaczęła przechowywać w mieszkaniu druki i ulotki opozycyjne, co groziło represjami ze strony organów bezpieczeństwa. Na spotkania Wolnych Związków Zawodowych przychodziła w czerwonej sukience i szpilkach tego samego koloru, czym skutecznie zwracała na siebie uwagę uczestników i zapewne – jak się powszechnie obawiano – Służby Bezpieczeństwa. Była w tym po części racja, nikt się jednak nie spodziewał, że te zbiory nie są całkowicie rozłączne. Zalecał się do niej Edwin Myszk, jeden z liderów WZZ, ale także – jak się później okazało – tajny współpracownik SB. Ostatecznie to Borusewicz zdobył jej serce i stworzyli najważniejszą parę opozycji demokratycznej. Ich ślub, a zwłaszcza chrzciny córki, w których zdalnie uczestniczył ukrywający się przed bezpieczeństwem Borusewicz, przeszły do legendy opozycji.

Pienkowska stała się jedną z najważniejszych osób „Solidarności”. To ona 14 sierpnia 1980 r. zadzwoniła do Jacka Kuronia:

- Jacek, w stoczni coś się dzieje! – woła.
- Poczekaj, złotko, idę po długopis – sapie Kuroń i milknie na dłuższą chwilę, która Alinie wydaje się wiecznością. Wreszcie wraca: Już jestem. Mów!
- Mamy postulaty. – Pienkowska dyktuje je po kolei. Wreszcie mówi: – Zapewnienie bezpieczeństwa strajkującym...
- Jakim strajkującym?
- No, przecież stocznia strajkuje!
- O kurwa, to ty mi dopiero teraz mówisz!!??⁶

To dzięki tej relacji świat dowiedział się o strajkującej Stoczni Gdańskiej – Kuroń podał ją dalej Radiu Wolna Europa. Pienkowska reprezentowała w Komitecie Strajkowym pielęgniarki. Swoją historyczną rolę z 16 sierpnia wspominała dość nieśmiało:

6 B. Szczepuła, *Miłość w cieniu polityki*, Warszawa 2013, s. 71.

pielęgniarki. Swoją historyczną rolę z 16 sierpnia wspominała dość nieśmiało:

Był taki dzień, sobota, trzeci dzień strajku, kiedy dyrekcja nadawała komunikaty, że strajk został zakończony, prosiła o opuszczenie terenu stoczni do godziny 18. Wiedziałam, że ludzie zostali oszukani przez dyrekcję. Wówczas jeździłam z komitetem strajkowym Stoczni Gdańskiej bez mikrofonu i mówiłam ludziom opuszczającym stocznnię, żeby się zastanowili. No i to skutkowało, wszyscy wracali. Ten moment był najtrudniejszy⁷.

⁷ Wywiad z Aliną Pienkowską dla Polskiego Radia z 12.09.1980 r., www.polskieradio.pl/238/4674 [dostęp: 13.08.2018]

Krzysztof Wyszowski z kolei nie bał się wielkich porównań. Sądził, że na jego oczach urzeczywistnia się scena z *Wolności wiodącej lud na barykady* Delacroix, a w roli głównej występuje Pienkowska desperacko próbująca przekonać stoczniowców do kontynuacji strajku.

W efekcie ogłoszono strajk solidarnościowy, powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Alina Pienkowska była najmłodszą osobą w jego prezydium. Współredagowała postulaty sierpniowe, była współautorką – wraz z dr Barbarą Przedwojską – punktu 16: „Poprawić warunki pracy służby zdrowia, co zapewni pełną opiekę medyczną osobom pracującym”. W trakcie negocjacji z ekipą rządową często zabierała głos. Choć dotychczas dała się poznać raczej jako osoba nieśmiała, czas w opozycji ją zmienił. Obserwatorom i uczestnikom rozmów imponowała jej odwaga. Potrafiła w pewnym momencie wykrzyczeć w kierunku wicepremiera Mieczysława Jagielskiego: „Panie premierze, ja mam dziecko na koloniach i nie mogę się z nim porozumieć, bo wyłączyliście telefony. A jeżeli syn zachorował?”. 31 sierpnia, gdy komisja rządowa ogłosiła zgodę na postulaty strajkujących, Pienkowska zaczęła głośno domagać się natychmiastowego zwolnienia aresztowanych. Udało się – Jagielski to zapowiedział. Chwilę później doszło do podpisania porozumień sierpniowych.

Zakończenie strajku oznaczało rozpoczęcie intensywnej pracy nad tworzeniem struktur związkowych. Pienkowska,

Walka Kinga o zniesienie dyskryminacji rasowej połączyła istotę non violence z chrześcijaństwem – moralność Ewangelii znajdowała spełnienie w strategii działania bez przemocy.



podobnie jak pozostałe osoby z doświadczeniem w WZZ, miała wiele do zrobienia na polu edukacyjnym, aby pomóc ludziom zrozumieć, czym mają być niezależne i samorządne związki zawodowe.

Jej dalsza historia życia pokazuje, że nie traktowała działalności związkowej jako trampoliny do bardziej prestiżowych funkcji – w „Solidarności” działała długo po upadku PRL, i to pomimo różnic poglądów, które wśród jej twórców ujawniały się coraz wyraźniej po 1989 r. Specjalizowała się w kwestiach dotyczących opieki zdrowotnej: kierowała – z powodzeniem – strajkiem pracowników służby zdrowia w listopadzie 1980 r., stawała także kilkakrotnie na czele Krajowej Komisji Koordynacyjnej Służby Zdrowia. W 1991 r. prezydent Wałęsa zaproponował jej tekę ministra zdrowia w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. Odmówiła. Uznała, że porzucenie „Solidarności” na rzecz ministerstwa zostałoby odczytane jako zdrada.

Nie wzięła udziału w Okrągłym Stole. Nie była przeciwna jego idei, ale uważała, że składy delegacji – ustalone z góry przez warszawskie kierownictwo – nie odzwierciedlały dobrodziejstwa i kompetencji osób zaangażowanych w reformę kraju. Inna sprawa, że w obradach nie doreprezentowano wielu grup społecznych. Z dzisiejszej perspektywy szokujące są nagrania rozmów przy Okrągłym Stole, na których widać stonowane kolory męskich marynarek i jeden różowy punkcik na sali, którym był żakiet Grażyny Staniszewskiej – jedynej kobiety biorącej udział w obradach plenarnych. Pytanie o nieobecność kobiet przy Okrągłym Stole – w tym Pienkowskiej, uważanej powszechnie za jedną z przywódczyń opozycji demokratycznej – wybrzmiewa mocno w filmie dokumentalnym *Solidarność według kobiet* Marty Dzido.

Lojalność wobec pracowników służby zdrowia przeważała u Pienkowskiej nad lojalnością wobec kolegów i koleżanek, którzy zdecydowali się na karierę polityczną. Gdy w czasie Balcerowiczowskich reform brakowało pieniędzy na wszystko, Pienkowska nie wahała się poprowadzić

protestu „Solidarności” pod ministerstwem. Punktem zapalnym było niezrealizowanie przez rząd obiecanych podwyżek pensji dla służby zdrowia w 1991 r. Ministerstwem Zdrowia kierował wówczas Władysław Sidorowicz, którego na stanowisko zaproponowała właśnie Pienkowska. Twardo negocjowała też z Jackiem Kuroniem, ministrem pracy, a prywatnie jej przyjacielem. Ostatecznie jej drogi ze związkiem rozeszły się, gdy została zmarginalizowana za swój polityczny mariaż z Unią Demokratyczną i Unią Wolności, który doprowadził ją do funkcji senatora.

Niedokończony ogród

Ale nawet wtedy pozostała bardziej działaczką społeczną niż politykiem. Starła się poświęcać jak najwięcej czasu rodzinie, a jednocześnie jako senator nocami pracowała nad reformą służby zdrowia. Innym razem została szefową spółdzielni mieszkaniowej i uratowała ją przed upadkiem, a co za tym idzie – utratą domów przez mieszkańców. Własnego domu nie miała kiedy wykończyć, co martwiło ją, zwłaszcza gdy zachorowała. „Po wyjściu ze szpitala Alina strasznie piliła mnie, żebym urządził ogród. Chciała móc wyjść na taras i popatrzeć na zieleń” – wspominał późniejszy marszałek Senatu⁸.

⁸ Alina Pienkowska dodawała odwagi opozycji, „Plus Minus” 17.10.2012.

Alina Pienkowska zmarła w wieku zaledwie 50 lat. Bogdan Borusewicz przez szesnaście lat co tydzień składał kwiaty na grobie żony – aż do 14 maja 2018 r., gdy na teren cmentarza nie wpuścili go policjanci. Funkcjonariusze dostali nakaz zagrodzenia terenu w związku z planowaną na godz. 19.00 tego dnia – wbrew woli rodziny – ekshumacją zwłok Arkadiusza Rybickiego.

Tak oto historia Aliny Pienkowskiej – prowadzącej lud do solidarności bez przemocy – łączy się z dzisiejszymi głębokimi i bardzo raniącymi podziałami politycznymi. Polaryzacja niszczy zaufanie społeczne, więzi przyjacielskie i rodzinne. Pojawia się też coraz więcej przyzwolenia na

przemoc – i słowną, i fizyczną. W sporach między „zdradzieckimi mordami” a „ciemnym ludem pisowskim” – ale również między „mordercami kobiet” a „morderczyniami dzieci” – nie ma miejsca na dialog. Własna racja jest absolutyzowana, a odmienną opinię należy wyłącznie odrzucić. Dlatego tym głośniej trzeba przypominać o ideach solidarności społecznej oraz odrzucenia przemocy, a także o ich skuteczności w doprowadzeniu do istotnej zmiany w życiu publicznym. Jesteśmy to winni bohaterom polskiej „Solidarności”.



Bez licytacji krzywd

Jerzy Kłoczowski

Agnieszka Magdziak-Miszewska

Deklaracje polityków o pojednaniu między narodami są potrzebne, ale nie mogą przynieść natychmiastowej zmiany. Stają się fundamentem, na którym można później budować wspólną przestrzeń dla prawdziwego przebaczenia i szczerzej rozmowy tak elit społecznych, jak zwykłych ludzi.

Jednym z najtrudniejszych wyzwań dla odradzającej się przed stu laty Rzeczypospolitej było zbudowanie od podstaw polityki zagranicznej. Najpierw uzyskanie międzynarodowego uznania granic nowego państwa wytyczanych w wyniku powstań, plebiscytów i wojny. Następnie rozpoznanie wrogów i potencjalnych sojuszników. Ludzie, którzy tworzyli politykę zagraniczną II RP, pochodzili z różnych obozów politycznych,

a ich poglądy na rolę i miejsce Polski w Europie, w której rozkład sił podyktowali autorzy traktatu wersalskiego, nierzadko się wykluczały.

Jednym z możliwych rozwiązań wzmacniających geopolityczną pozycję Polski pomiędzy Niemcami a sowiecką Rosją była idea federacyjna Józefa Piłsudskiego i żywione przez niego przekonanie, że możliwe są równocześnie: stworzenie wspólnego państwa z Litwinami i Białorusinami oraz powstanie suwerennej i przyjaznej Polsce Ukrainy.

Rząd Rzeczypospolitej Polskiej z jednej strony i Rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej z drugiej strony – w głębokim przeświadczeniu, że każdy naród posiada przyrodzone prawo samostanowienia o swoim losie i określenia stosunków swoich z sąsiadami, i jednako ożywione chęcią ugruntowania podstaw pod zgodne i przyjazne współżycie dla dobra i rozwoju obu narodów – zgodziły się na następujące postanowienia:

1. Uznając prawo Ukrainy do niezależnego bytu państwowego [...], Rzeczpospolita Polska uznaje Dyrektoriat niepodległej Ukraińskiej Republiki Ludowej z głównym atamanem panem Simonem Petlurą na czele za zwierzchnią władzę Ukraińskiej Republiki Ludowej¹.

¹ Umowa między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej z 21.04.1920 r., www.jpilsudski.org/umowy-akty-miedzynarodowe/333 [dostęp: 22.08.2018].

Tak brzmiał zapis w umowie z 21 kwietnia 1920 r. Mogło się wydawać, że oto zrobiono pierwszy krok na drodze do realizacji marzenia Naczelnika Państwa o budowie federacji Polski, Litwy i Białorusi współpracujących z niepodległą Ukrainą. Determinacja ukraiń-

skich żołnierzy Petlury, walczących u boku polskich wojsk z bolszewikami, mogła stać się fundamentem nie tylko wojskowej współpracy w przyszłości.

Kilka miesięcy później federacja i niepodległa Ukraina były już tylko wspomnieniem: polska delegacja od sierpnia negocjowała z sowiecką Rosją postanowienia traktatu ryskiego. W skład delegacji – zdominowany przez przedstawicieli

narodowej demokracji – wchodził także Leon Wasilewski. Bliski przyjaciel Piłsudskiego, znawca Ukrainy i Białorusi, gorący zwolennik i współtwórca wschodniej polityki Naczelnika musiał z bliska przyglądać się triumfowi brutalnej realpolitik. Więcej, to właśnie Wasilewskiemu zlecono przygotowanie ukraińskiej wersji traktatu. Dokument podpisano ostatecznie w marcu 1921 r., a miejsce niepodległej Ukrainy zajęła w nim Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka. W nowej politycznej rzeczywistości Wasilewski mógł już tylko głośno, acz nieskutecznie przeciwstawiać się przymusowej polonizacji Ukraińców i Białorusinów z inkorporowanych do Rzeczypospolitej ziem.

Po wielkiej wojnie zwolennicy partnerskiej współpracy polsko-ukraińskiej byli w zdecydowanej mniejszości – i w Polsce, i na Ukrainie. Polacy – po ponad stuletniej nieobecności na mapach Europy – marzyli raczej o restauracji I Rzeczypospolitej albo zajmowali się praktyczną budową nowego państwa. Ukraińcy po upadku monarchii habsburskiej w roli gwaranta (własnej, nareszcie!) niepodległości widzieli przede wszystkim Niemców. Polakom nie mogli i nie chcieli ufać. Nie bez racji, jak się bowiem okazało, Ukraińcy nie otrzymali zapisanej w postanowieniach wersalskich autonomii, a coraz częściej byli traktowani w II RP jako obywatele drugiej kategorii.

Scenariusze przyszłości

II wojna światowa – w wyniku której Polska utraciła suwerenność, a miliony Polaków i Ukraińców straciło życie – oddzieliła oba narody murem wrogości. Po latach bratobójczych walk, tragedii Wołynia i akcji „Wisła” jakiegokolwiek porozumienie pomiędzy Polakami a Ukraińcami było równie nie do pomyślenia, jak sama możliwość powstania ukraińskiego państwa.

Życie intelektualne ocalałych z wojennej pożogi polskich i ukraińskich elit politycznych i kulturalnych w sposób nieskrępowany mogło się rozwijać przede wszystkim na

Ważne, w jakim kierunku pójdą teraz pamięć polska i ukraińska. Pojednanie jest zadaniem na dalsze kilkadziesiąt lat.



emigracji. Tam również, co zrozumiałe, dzieliła je nieufność i często nieskrywana wrogość. Głosy takie jak opublikowany w 1952 r. na łamach paryskiej „Kultury” artykuł Józefa Łobodowskiego spotykały się jeśli nie z oburzeniem, to w najlepszym razie z obojętnością przedstawicieli polskich i ukraińskich środowisk emigracyjnych. Łobodowski pisał:

Czas byłby najwyższy, aby Polacy zrozumieli, że Ukraińcy są odrębnym narodem. Ukraińcom zaś wyszłoby na dobre, gdyby przeprowadzili chociaż częściową rewizję swych poglądów na dawną Rzeczpospolitą, a na międzywojenne dwudziestolecie spojrzeli także i od strony polskiej. [...] Mówił mi kiedyś młody ukraiński publicysta: – Tak, my tu rozmawiamy przyjaźnie, czujemy się dobrze ze sobą, zgadzamy się w wielu sprawach, ale myślę, że za kilka lat spotkamy się na moście w Przemyślu i będziemy strzelać do siebie².

² J. Łobodowski, *Przeciw upiorom przeszłości*, „Kultura” 1952, nr 2–3.

Z podobnym niezrozumieniem spotkał się zresztą Łobodowski już wcześniej, w późnych latach 30., gdy na łamach swojego pisma „Wołyń” protestował przeciwko paleniu ukraińskich cerkwi i przestrzegał, że kontynuacja sanacyjnej polityki wobec mniejszości ukraińskiej może doprowadzić do rozlewu krwi.

Ten odosobniony, jak się wówczas wydawało, głos stał się jednak początkiem burzliwej, trwającej ponad dwa dziesięciolecia debaty o możliwych scenariuszach przyszłości Polski i sąsiadujących z nią na wschodzie narodów. Problematyka ta była bliska Jerzemu Giedroycowi od czasów pracy w redakcji „Wschodu”, a potem publikacji na łamach własnego pisma „Polityka”, w których ostro krytykował sanacyjną politykę wobec mniejszości. Przełomowa dla emigracyjnej dyskusji okazała się publikacja w 1974 r. artykułu najbliższego współpracownika Giedroycia, Juliusza Mieroszewskiego *Rosyjski kompleks polski i obszar ULB*. Można było w nim przeczytać:

Musimy szukać kontaktów i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać pełne prawo do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom i, co również ważne, musimy sami zrezygnować raz na zawsze z Wilna, Lwowa i z jakiejkolwiek polityki czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem cytowanych powyżej narodów. Tak Polacy, jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nieimperialistyczna Rosja i nieimperialistyczna Polska miałyby szanse na uporządkowanie swych wzajemnych stosunków. Musimy zrozumieć, że każdy imperializm jest zły, zarówno polski, jak rosyjski – zarówno zrealizowany, jak i potencjalny, czekający na koniunkturę. Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu³.

Współczesnego czytelnika może razić zarówno przekonanie, że można znaleźć wystarczająco wielu Rosjan, którzy dostrzegliby w Polsce równorzędnego partnera (i że w ogóle Polska jako państwo posiada samodzielnie potencjał, by ją tak Rosja kiedykolwiek postrzegała), jak i mimowolny paternalizm autora wobec „cytowanych powyżej narodów”, którym to Polacy i Rosjanie zagwarantują prawo do samostanowienia.

Sam Giedroyc mawiał, że nie żywi „jakiegoś specjalnego sentymentu do Ukrainy czy do Ukraińców”. Podkreślał: „To są rzeczy czysto wyrozumowane”⁴. Ale to przecież właśnie doktryna Mieroszewskiego i Giedroycia umożliwiła

³ J.Mieroszewski, *Rosyjski kompleks polski i obszar ULB*, „Kultura” 1974, nr 9.

⁴ *Ostatnie lato w Maisons-Laffitte*. Z Jerzym Giedroyciem rozmawia Hanna Maria Giza, „Przegląd Powszechny” 2001, nr 12.

rozpoczęcie poważnego dialogu Polaków i Ukraińców na emigracji, a później w kraju, a ponadto włączyła do dyskusji o możliwych scenariuszach polsko-ukraińskiej przyszłości przedstawicieli strony ukraińskiej, takich jak wierny paryskiej „Kulturze” i jej filozofii

do końca życia Bohdan Osadczyk. A nade wszystko stała się inspiracją dla polityków, uczonych, działaczy społecznych oraz religijnych i była przez nich twórczo rozwijana.

Przestrzeń dla przebaczenia

Wśród tych osób był zmarły w grudniu 2017 r. profesor Jerzy Kłoczowski. Żołnierz Armii Krajowej, uczestnik powstania warszawskiego, historyk, działacz opozycji antykomunistycznej. Wieloletni profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, specjalista od historii chrześcijaństwa w Europie Środkowo-Wschodniej, twórca najpierw Towarzystwa, a potem Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej. Badacz i orędownik „młodszej” Europy, bez której jednak nie sposób wyobrazić sobie pełnej tożsamości duchowej i kulturowej naszego kontynentu. A przede wszystkim gorący orędownik pojednania Polaków i Ukraińców w duchu *Deklaracji o polsko-ukraińskim przebaczeniu i pojednaniu* przyjętej przez Konferencję Episkopatu Polski i przedstawicieli Synodu Biskupów Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego w 1987 r. w Rzymie z inicjatywy Jana Pawła II.

„Przygniata nas nawyk narzekań, uprzedzeń oraz wspomnienia łez, a także krwi. Nie wolno nam podejmować licytacji, kto komu więcej krzywd wyrządził. Do niczego to nie doprowadzi” – mówił wtedy w Rzymie prymas Polski, kard. Józef Glemp, 8 października 1987 r., podczas spotkania z biskupami ukraińskimi z diaspory, które odbywało się w Kolegium Polskim. Kilkanaście dni później, 17 października w Kolegium Ukraińskim św. Jozafata przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski dodał: „Mamy winy jedni wobec drugich. A gdzie są winy, tam trzeba mówić: odpuść nam, jako i my odpuszczamy”⁵ – i zaprosił biskupów greckokatolickich do Częstochowy na wspólne

obchody milenium chrztu Rusi. Profesor Kłoczowski był jednym z najbardziej aktywnych świeckich katolików zaangażowanych w ich przygotowanie. Jego autorskim pomysłem

⁵ Oba cytaty za: *30 lat kościelnego dialogu polsko-ukraińskiego*, www.ekai.pl/30-lat-koscielnego-dialogu-polsko-ukrainskiego [dostęp: 22.08.2018].

W 1991 r. Polska jako pierwszy kraj na świecie dzień uznała niepodległość Ukrainy. Nie byłoby to możliwe bez wpływu, uwewnętrznionej przez polityków III RP, „doktryny Giedroycia”.



było towarzyszące uroczystościom spotkanie polskich i ukraińskich historyków i intelektualistów w Rawennie.

1 grudnia 1991 r. Ukraina ogłasza niepodległość, a Polska jako pierwszy kraj na świecie dzień później ją uznaje. Rzecz jasna, nie byłoby to możliwe bez wpływu, uwewnętrznionej już przez polityków III RP, „doktryny Giedroycia”. Dla Jerzego Kłoczowskiego zaczyna się wtedy trwający aż do jego śmierci okres intensywnej, mrowczej pracy. Wspiera kontakty historyków ukraińskich z zachodnimi placówkami badawczymi. Tworzy Europejskie Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów, sieć Instytutów Europy Środkowo-Wschodniej, Ukraiński Komitet Międzynarodowej Asocjacji Porównawczej Historii Kościoła. Marzy do końca życia o powołaniu polsko-ukraińskiego uniwersytetu, wykłada m.in. w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, wspiera powstanie Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie. Zostaje wiceprzewodniczącym Forum Polsko-Ukraińskiego, organizuje dziesiątki konferencji i w nich uczestniczy, pisze i redaguje setki książek oraz artykułów. W 2001 r. we Lwowie w obecności Jana Pawła II odbiera Nagrodę Pojednania Polsko-Ukraińskiego. To jedna z wielu nagród, medali i odznaczeń w jego życiu, ale ze względu na miejsce i okoliczności chyba też – obok *Virtuti Militari* i Orderu Orła Białego – jedna z najważniejszych.

W kondolencjach przesłanych po śmierci Profesora rektor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie ks. Bogdan Prach napisał między innymi:

Każdego, kto chociaż przez chwilę miał kontakt ze zmarłym Kombatantem, Profesorem, Opiekunem, poruszały: światło w jego oczach, nadzieja w słowach i dynamizm w działaniu. Jerzy Kłoczowski chciał wiele dla wielu. Wiele dla nas wszystkich. [...] Jerzy Kłoczowski po prostu lubił ludzi. Na sposób niemalże prorocki odczytywał historię, jej dramaty i tragedie oraz z oddaniem pracował nad tymi fundamentami, które nie tylko pozwoliłyby przetrwać

młodszej Europie opartej na chrześcijańskich wartościach, ale ją rozwijać⁶.

6 *Kondolencje prezydenta Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego po śmierci Jerzego Kłoczowskiego*, www.wyborcza.pl/7,95891,22812502.html [dostęp: 22.08.2018].

Profesor Jerzy Kłoczowski nigdy nie stał w pierwszym szeregu głośnych medialnie „aktywistów dialogu i pojednania”. Nie wierzył, że deklaracje polityków mogą przynieść natychmiastową zmianę w relacjach między ludźmi i między narodami. Wiedział oczywiście, że są potrzebne, bo tworząc sprzyjający klimat na górze, stają się fundamentem, na którym można będzie później budować wspólną przestrzeń dla prawdziwego przebaczenia i szczerzej rozmowy tak elit społecznych, jak i – co najważniejsze – zwykłych ludzi. Komentując otwarcie Cmentarza Orląt we Lwowie, Kłoczowski mówił:

[...] to ważny etap pojednania. Ale nie można powiedzieć, że zostało ono zakończone. Takie procesy trwają przez pokolenia.

Powstaje teraz pytanie: w jakim kierunku pójdzie pamięć nasza i ukraińska? Nowa sytuacja wymaga od nas nowego programu i podejścia. Dlatego pojednanie jest zadaniem na dalsze kilkadziesiąt lat.

Wymaga ono wyraźnego powiedzenia, że na Cmentarzu oddajemy hołd i ukraińskim chłopcom ze Strzelców Siczowych, i naszym Orlątom, którzy bohatercko walczyli i ginęli. Że i tamci, i ci zginęli w przekonaniu, że walczą za swoją, dobrą sprawę. Jest to lekcja historyczna: wobec tych grobów, z pamięcią o nich, mówimy, że podając sobie ręce, kończymy tamten okres. Wówczas groby te mogą jeszcze odegrać swą rolę: nasze zobowiązanie wobec nich polega na zaangażowaniu w budowanie nowej ukraińsko-polskiej rzeczywistości, właśnie na podaniu sobie przez obie strony ręki. Dopiero wtedy nastąpi pojednanie. [...]

Ważne, żebyśmy wiedzieli, że działa to po obu stronach. Mogą tu pomóc po pierwsze Kościoły. Dalej,

ważny jest język: na francusko-niemieckich cmentarzach mówi się dziś o wojnie bratobójczej. Trzeba podkreślić: wojnie bratobójczej. Wreszcie, dopiero dopracowujemy się nowej wizji historii Ukrainy i Polski. Bardzo długo będziemy jeszcze wspólnie dyskutować nad wydarzeniami z Wołynia. Wojen między nami, począwszy od dramatu Chmielnickiego z XVII w., było przecież niemało. [...]

Jak powiedział poeta Taras Szewczenko: owszem, Ukraina runęła, ale zaraz potem runęła Polska. Nie potrafiliśmy zamienić Rzeczypospolitej polsko-litewskiej na polsko-litewsko-ukraińską. Dopiero dziś mamy szansę – w ramach Europy⁷.

⁷ J. Kłoczowski, *Po wojnie bratobójczej*, „Tygodnik Powszechny” 2005, nr 27.

W roku stulecia odzyskania polskiej niepodległości proces pojednania i współpracy Polaków i Ukraińców po raz kolejny przeżywa kryzys – najpoważniejszy w XXI wieku. W kontaktach między państwami mimo okazjonalnych gestów panuje chłód. Kontakty historyków zmroziła nowelizacja ustawy o IPN, a w polskim publicznym dyskursie dominuje ton środowisk bliskich poglądom ks. Isakowicza-Zaleskiego.

Wielu z nas ogarnia z tego powodu gorycz i poczucie zmarnowanej szansy. Ale przecież pionierzy tego dialogu nigdy nie sądzili, że będzie łatwo, szybko i przyjemnie (prof. Kłoczowski prognozował, że jest to praca na kilkadziesiąt lat!). Dlatego pieczołowicie przygotowywali następców, gotowych kontynuować ich wysiłek także w mało sprzyjających okolicznościach. Tak to już w Polsce bywa, że głos ludzi wolnych i wolność ubezpieczających jest czasem mniej słyszalny, ale trwa z pokolenia na pokolenie.



Śląski borderline bp Alfons Nossol

Andrzej Kerner

Pierwsza Msza Święta oficjalnie sprawowana w języku niemieckim w sanktuarium na Górze Świętej Anny przypadła w symboliczną niedzielę – 4 czerwca 1989 roku. Polska głosowała za odrzuceniem systemu komunistycznego, a u św. Anny ludzie płakali, mogąc śpiewać po niemiecku.

Kiedy skończyła się II wojna światowa, 9-letnia Stasia Cieślówna – z rozkazu zwycięskich mocarstw, by ująć to ogólnie – musiała z rodzicami opuścić rodzinny Stanisławów (dziś Iwano-Frankiwnsk na Ukrainie). Wszyscy ładowali się do pociągu, a ona – niesforna, wesola – pobiegła za swoim kotkiem i o mało nie spóźniła się na skład wywożący repatriantów (ściślej – ekspatriantów) z miasta. Pojechali na zachód,

jedną ze stacji postojów był Kędzierzyn. Tam rodzina Stasi wysiadła. I osiadła.

Parę miesięcy wcześniej 5-letnia Rosemarie Siegmund z wioski Rheinschdorf koło obecnego Kędzierzyna-Koźła opuszczała rodzinne strony razem z mamą i dwoma młodszymi siostrami oraz innymi mieszkańcami Śląska, uciekając do Bawarii przed nadchodzącą armią radziecką. Tam, w wiosce Zusmarshausen, mama Rosemarie urodziła syna, który zmarł po dziewięciu dniach. Rok później wrócili do wioski, która już nosiła polską nazwę: Reńska Wieś.

Właśnie zaczynał się tworzyć zupełnie nowy Śląsk.

Kluczowa zmiana

Nigdy wcześniej – choć historia w tym regionie do najspokojniejszych przecież nie należy, od rywalizacji celtycko-germańskiej przed ponad 2000 lat począwszy – nie doszło do tak ogromnych, wręcz ekstremalnych zmian ludnościowych. Do 1950 roku około trzech milionów jego przedwojennych mieszkańców wyjechało – na jałtańsko-poczdamski „rozkaz mocarstw” – do Niemiec zachodnich oraz wschodnich. Na Górnym Śląsku zostało ok. 800 tysięcy dawnych mieszkańców, na Dolnym – ok. 70 tysięcy. W tym samym czasie przybyło tu w wyniku wysiedlenia i wypędzenia z Kresów ok. 760 tysięcy osób, a z terenów Polski centralnej ponad milion.

To punkt zwrotny i kluczowy dla procesów zachodzących na Śląsku po wojnie. Miały one inny charakter na Dolnym Śląsku (po wojnie zostało tam ledwie kilka procent dawnych mieszkańców) niż na Górnym Śląsku. Konieczne jest tu jeszcze jedno uściślenie: Górny Śląsk to od strony historycznej i geograficznej nie tylko – jak się często sądzi – województwo śląskie, ale także opolskie. Po uzyskaniu niepodległości przez Polskę wzmożyły się istniejące już wcześniej dążenia do włączenia Górnego Śląska do Polski. Po powstaniach śląskich wschodnia część Górnego Śląska stała się częścią Polski (to teren dzisiejszej

archidiecezji katowickiej). Po stronie niemieckiej zostaje – z grubsza biorąc – teren dzisiejszej diecezji opolskiej i gliwickiej (wówczas archidiecezja wrocławska) oraz oczywiście cały Dolny Śląsk, gdzie plebiscytu nie było. Po podziale Śląska na niemiecki i polski sto tysięcy ludzi migrowało z Niemiec do Polski, sto tysięcy w odwrotnym kierunku.

Na skutek opustoszenia Dolnego Śląska po II wojnie ciekawszym polem obserwacji ludności miejscowej i napływającej z Kresów oraz innych części Polski jest zachodnia część Górnego Śląska, nazywana Śląskiem Opolskim bądź Opolszczyzną. Tu bowiem skupiają się kwestie tak zasadnicze, jak właściwe rozumienie poczucia tożsamości narodowej i etnicznej; wyczulenie na proces pojednania i stosunki polsko-niemieckie oraz na zagrożenie nacjonalizmem; zrozumienie i szacunek dla inności czy fundamentalne poczucie braterstwa i jedności w Kościele.

Jest człowiek, bez którego te procesy trudno sobie nawet wyobrazić – to abp Alfons Nossol, emerytowany biskup opolski. W styczniu 1945 roku – kiedy Armia Czerwona nadciągała na niemiecki Śląsk – miał dwanaście lat i chodził z proboszczem po kolędzie w rodzinnej parafii Brożec.

Ustrzec się nienawiści

Dwa, może trzy miesiące później przeżył coś, co głęboko nim wstrząsnęło i stało się początkiem drogi do kapłaństwa. Tak o tym opowiadał w wywiadzie rzece *Miałem szczęście w miłości*:

Jeden z kolegów poskarżył Rosjanom, że jego trzech inni koledzy należeli do Hitlerjugend. To miała być taka mała zemsta, bo kiedyś ci chłopcy zabrali mu piłkę. Pewnie myślał, że Rosjanie im po prostu złoją skórę. A oni kazali tym dzieciom wykopać sobie groby. Chłopcy mieli po 12, 13 lat. Pamiętam jak dziś, to byli bracia Erich i Jorg Suchy oraz

1 Ten i kolejne cytaty pochodzą z książki: *Miałem szczęście w miłości*, z abp. Alfonssem Nossolem rozmawiają Krzysztof Zyzik i Krzysztof Ogiolda, Opole 2007.

Walter Badura. Kiedy już wykopali te doły, musieli nad nimi stanąć... Potem padły strzały... To nami strasznie wstrząsnęło, wszystko nabrało innego wymiaru...¹

Ksiądz niemieckiego już we wsi nie było, polski jeszcze nie dojechał. Zrozpaczone matki chłopców poprosiły ministranta Alfonsa, żeby pochować ich ciała. Nocą wydobyli je i przenieśli na cmentarz. Młodzieniec Nossol, znający na pamięć łaciński rytuał pogrzebu, odmówił modlitwy nad grobami kolegów.

Ustrzegł się jednak nienawiści do Rosjan. Wspominał, że jako dziecko poznał ich z dobrej strony. Grupa rosyjskich jeńców pracowała w kopalni Bytom pod kierunkiem ojca Alfonsa. Mama Nossolowa przygotowywała im chleb moczony w maśle z margaryną, a oni robili dzieciom Nossolów zabawki.

Alfons nie relatywizował winy niemieckiej. „Dziękowałem Bogu, że my ostatecznie przeżyliśmy. Wiele rodzin w Polsce i w Europie, które zetknęły się z armią niemiecką, nie miało tego szczęścia” – mówił we wspomnianej książce opolskim dziennikarzom Krzysztofowi Ogioldzie i Krzysztofowi Zyzikowi. Postawę nieideologizowania stosunków między ludźmi wyniósł z domu. Nikt z rodziny – zarówno w czasach faszyzmu, jak i komunizmu – nie należał do partii. „Mama nauczyła nas, że nie liczy się narodowość, tylko człowiek. To mnie ustawiło na całe życie. Niektórzy Ślązacy mieli mi już po wojnie za złe, że przyjaźniłem się z repatriantami. Zarzucali mi nawet zdradę” – mówił. Mama kazała też dzieciom w czasie wojny nosić chleb jeńcom żydowskim, którzy budowali drogę w Brożcu. Dziecięce przeżycia tego czasu i późniejsze doświadczenie śląskiego styku kultur i narodów ukształtowały w Alfonsie Nossolu niezwykłą otwartość na innych.

Zaowocowała ona – obok współgrającego z nią talentu teologicznego – wybitnymi osiągnięciami na polu

**Dopiero wolna Polska
dała Ślązakom możli-
wość wypowiedzenia
siebie w języku, który
jest najbliższy sercu.**



ekumenicznym. Już jako duchowny przez wiele lat był członkiem Papieskiej Rady ds. Jedności Chrześcijan, współprowadniczącym i członkiem komisji mieszanych ds. dialogu katolicko-prawosławnego i katolicko-luterańskiego. Jako przedstawiciel strony katolickiej brał udział w ustalaniu w Kamieniu Śląskim ostatecznej wersji katolicko-luterańskiej „Wspólnej deklaracji w sprawie nauki o usprawiedliwieniu” (1999), będącej największym dokonaniem na polu dialogu między tymi wyznaniem. Jako glossę – wręcz zabawną, ale znamienne – warto tu dodać, że początkowo obie strony trzymały się na dystans i przełamać lody pomogła dopiero wspólna radość podczas... ucztowania i zabawy w Brożcu. Pojednanie Ślązaków i Kresowiaków, Polaków i Niemców – konia z rzędem temu, kto rozstrzygnie, czy ważniejsze to, czy ekumenia – stało się dla Nossola zadaniem wręcz naturalnym, oczywistym zwłaszcza od momentu, gdy został biskupem opolskim. Od czego zresztą – on, profesor KUL – próbował się wywinąć, ale kard. Wyszyński przekonał go do zmiany zdania, argumentując, że odmowa równałaby się brakowi posłuszeństwa papieżowi.

Tożsamość stłumiona

W życiu abp. Nossola odbijają się indywidualne losy wielu Ślązaków. Przeżył wiele, pewnie więcej niż inni. We wspomnianej książce mówił:

Kiedy zapisywałem się na studia w Lublinie, na dźwięk nazwiska Nossol jedna z pań zapytała: „A ksiądz jest Polakiem czy Ślązakiem?”. Powiedziałem jej, że jestem katolikiem. Tłumaczyłem jej: Proszę pani, u nas na Opolszczyźnie, jak jakiegoś Ślązaka dorwą w państwowym urzędzie, to zanim go załatwią, każą mu składać narodowe i polityczne wyznanie wiary. A pani na katolickiej uczelni – jak ubek – pyta mnie, w jakiej koszuli chodzę. Przecież skoro mieszkam i pracuję w Polsce, muszę być Polakiem, nikim innym.

W latach komunizmu pochodzenie ze Śląska było po prostu podejrzane. Dotyczyło to zarówno Ślązaków, którzy jasno określali się (oczywiście nie w sposób publiczny) jako Niemcy, jak i tych, których tylko „zdradzała mowa” – śląska gwara. A przecież rodowici Ślązacy – odmawiający dość często wyraźnych afiliacji narodowych – czuli się jednocześnie i Polakami, i Ślązakami o korzeniach niemieckich. Zdarzało się, że te korzenie – jak to w życiu! – bywały poplątane. PRL dla tych subtelności nie miał żadnej wyrozumiałości. Nawet mówienie gwarą śląską było piętnowane. Sam pamiętam takie sytuacje jeszcze z połowy lat 80. ze szkoły w Długomiłowicach k. Kędzierzyna-Koźła, w której uczyłem.

Co równie istotne, ekspresji własnej tożsamości historyczno-kulturowej była przecież pozbawiona także społeczność Kresowiaków. Któż mógł w czasie PRL publicznie opowiadać o dawnym kształcie II Rzeczypospolitej, o rzezi wołyńskiej, o Katyniu, o zsyłkach na Sybir, o tragicznych losach rodziny spowodowanych prześladowaniami sowieckimi? Być może dlatego – jak często podkreśla abp Nossol – rodowici Ślązacy i Kresowiaczy potrafili dość szybko znaleźć nić porozumienia. Nieco gorzej było z przybyłymi na Śląsk Opolski mieszkańcami Polski centralnej. U sąsiadów Nossolów mieszkali repatrianci z Wołynia, którzy na wojnie stracili dzieci. „Tam była babcia, która opowiadała mi wiele i barwnie o Kresach. Modliła się z pięknego, oprawionego w kość słoniową modlitewnika po ukraińsku. Zachęcała, bym i ja swojego języka serca się nie wyrzekał” – wspominał arcybiskup. Byłby to jednak obrazek zbyt sielankowy, gdyby nie dodać następnej anegdoty. Najmłodszy syn Nossolów jako jedyny w rodzinie nie znał polskiego. Po wojnie rodzina nie wypuszczała go na ulicę, „bo przez jego niemiecką mowę mogliby nam odebrać nasz stosunkowo nowy dom i przekazać repatriantom”. Pewnego dnia, kiedy byli w domu sami, Alfons musiał iść do sklepu, więc w desperacji przywiązał brata do nogi stołu, by nie wyszedł na dwór...

Kiedy upadał PRL, rosły nadzieje Ślązaków i śląskich Niemców na to, że odzyskają prawo do własnej narracji historycznej i do własnego języka. Pierwsza Msza Święta oficjalnie sprawowana w języku niemieckim w sanktuarium na Górze Świętej Anny przypadła w symboliczną niedzielę – 4 czerwca 1989 roku. Polska głosowała za odrzuceniem systemu komunistycznego, a u św. Anny ludzie płakali, mogąc śpiewać po niemiecku. – To Msza w „języku serca” – podkreślał setki razy biskup opolski Alfons Nossol. Sam wspominał, że w gimnazjum musiał spowiadać się po polsku i przychodziło mu to z wielkim trudem. Dopiero znający doskonale język niemiecki ksiądz ze Lwowa pozwolił mu spowiadać się po niemiecku.

Czym jest język serca, przekonał się na lekcjach matematyki. Przy tablicy zadania liczył cicho po niemiecku, a wynik podawał głośno po polsku. Matematyczka to zrozumiała, bo jej babcia modliła się i liczyła po ukraińsku... Abp Nossol – znany z dystansu do siebie i wyrozumiałego podejścia do spraw tego świata – dodaje czasami, że język serca to również ten, w którym przeklinamy. Dopiero wolna Polska dała możliwość wypowiedzenia siebie w języku, który jest najbliższy sercu. Owszem, mniejszości narodowe – w tym niemiecka – nie stanowią w Polsce bardzo licznej grupy, ale przecież właśnie dlatego ta wolność ma dla nich znaczenie zasadnicze. Daje wewnętrzny, swobodny oddech. Państwo, które ją respektuje, może być z tego powodu dumne.

Pojednanie różnorodności: czy to się udało?

Abp Nossol często podkreśla, że region Śląska Opolskiego jest miejscem „pojednanej różnorodności”, wzajemnego szacunku i tolerancji. „Śląsk jest piękną krainą kresową, peryferyjną. Mnie niosła zawsze w górę wyniesiona stąd otwartość na innych. Ponieważ na Śląsku, zwłaszcza Śląsku Opolskim, stykają się kultury różnych narodów, nauczyliśmy się je syntetyzować, osłabiając ich charakter etniczny i narodowy” – mówił. Najpełniej ta pojednana różnorodność

**Droga do pojednania
nie była usłana
różami. Na ścianie
kurii pojawiały się
w latach 90. napisy
„Nossol do Berlina”.**



ukazała się, kiedy mieszkańcy regionu – Kresowiaci, Ślązacy, Niemcy, słowem wszyscy – solidarnie stanęli w obronie województwa opolskiego podczas reformy administracyjnej. Argument wyjątkowości i różnorodności etnicznej Opolskiego odgrywał wtedy dużą rolę.

Droga do pojednania nie była usłana różami. Na ścianie kurii pojawiały się w latach 90. napisy „Nossol do Berlina”, zdarzały się listowne pogróżki. Jednak to nie Berlin był kierunkiem wybranym przez ordynariusza opolskiego, ale Krzyżowa, gdzie w czasie wojny działał ruch antyhitlerowski, a 45 lat później odbyła się słynna Msza pojednania, podczas której znak pokoju przekazali sobie premier Mazowiecki i kanclerz Kohl. Tę Mszę odprawiał właśnie bp Nossol i to on postawił kwestię znaku pokoju na ostrzu noża, kiedy „jacyś panowie” – prawdopodobnie ubecy jeszcze od Kiszczaka – nie chcieli się na niego zgodzić.

Arcybiskup nie przyjmuje postawy łatwego optymisty. „Nie wolno nam tracić świadomości, że w tych sprawach rany ledwo się zabiżniły i najmniejsze zadrapnięcie znów prowadzi do krwawienia” – mówił. Gorzko brzmią jego słowa wypowiedziane w kontekście lokalnych sporów:

Niestety, nie umieliśmy zaakceptować śląskiego pozanowania dla inności, chociaż teoretycznie wszyscy u nas o tym mówią. Słyszemy ciągle deklaracje, że jesteśmy razem, że nie ma podziałów. Ale niech ktoś spróbuje wyraźniej zaakcentować swoją specyfikę. Zaraz na niego naskoczą. Mówimy o pojednanej różnorodności, ale często czyny temu przeczą. Dla wielu regionalnych polityków, tak z większości, jak z mniejszości, inność jest ciągle obcością. To jest mój wielki zawód.

Polityczne zmiany ostatnich lat bynajmniej nie poprawiły sytuacji na Śląsku. Pomijając nawet napięte stosunki polsko-niemieckie czy atmosferę pobłażliwości dla wybryków nacjonalistów, sprawa powiększenia Opola kosztem ościennych gmin, zamieszkałych głównie przez Ślązaków

i mniejszość niemiecką, stawia trudne pytania o przyszłość. Czy zostaną podjęte kolejne kroki polityczne, które kwestię tożsamości będą traktowały z administracyjną arogancją? Zdaje się chwilami, że los Śląska i jego mieszkańców już zawsze będzie chwiejny, niepewny, bez gwarancji stabilizacji. Chyba że politycy państwowi zrozumieją, że w tym regionie właśnie różnorodność jest wartością dodaną i na różne sposoby profitującą! Ta różnorodność jest towarem bardzo kruchym, a napór państwowego molocha dążącego do wtłoczenia Śląska w jeden sposób samorozumienia będzie dla niej zabójczy. Wpłynie również – co oczywiste – na relacje polsko-niemieckie.

Koniec, *das Ende*. Nie trzeba wiele?

Kolega ks. Nossola z KUL powiedział mi kiedyś: „Wiesz, byłbyś wspaniałym człowiekiem, gdybyś jeszcze nie był Ślązakiem”. Wtedy ks. Nossol odpowiedział mi: „Wtedy nie byłbym wspaniały, tylko taki jak ty”. Po trzech tygodniach milczenia kolega się zreflektował i przeprosił. „Poradziłem mu, żeby przestał inność nienawidzić. To całkiem wystarczy”.

Sam wiem, że codzienne obcowanie z innością bywa trudne. Jestem najstarszym synem Rosemarie Siegmund. Córką Stasi Cieślównej ze Stanisławowa jest Jola, moja żona. Jesteśmy małżeństwem od 32 lat. Nawet przy niekiedy bolesnej świadomości odrębności kulturowej miłość jest możliwa.

Pojednanie i współistnienie ludzi przynależących do różnych grup etnicznych i narodowych, wyznających inne religie czy wywodzących się z różnych kręgów kulturowych również jest możliwe. Potrzeba jednak – jak lapidarnie ujął to abp Nossol – żeby przestać inność nienawidzić. To całkiem wystarczy – tylko tyle i aż tyle.



Trzeba nam samym robić nasze życie

Irena
Kosmowska

Ewa Buczek

„Nie nawykliśmy do zabierania głosu w publicznych sprawach. Za nas stanowiono, za nas wszystko urządzano – na naszą szkodę i stratę. Czas z tym skończyć. Trzeba nam się dziś na gwałt przyuczać do samodzielnego kierowania gromadzkim życiem” – pisała w 1918 r. Irena Kosmowska.

Potoczna pamięć o okresie przedwojennym zakonserwowała się „z pozycji Nowy Świat, pierwsze piętro, front”¹. Znaczy to mniej więcej tyle, że jej głównym nośnikiem były wspomnienia osób z elity finansowej lub intelektualnej ówczesnego społeczeństwa. A przecież tamten czas to nie tylko gwiazdy srebrnego ekranu, Skamandryci i kresowe dworki, ale również

¹ J. Dąbrowski, J. Koskowski, *Niepiękne dzielnice*, cyt. za: F. Springer, *13 pięter*, Warszawa 2015, s. 15.

olbrzymie nierówności społeczne, bezrobocie, analfabetyzm i alkoholizm.

W tym świecie kobiety często bywały tanią i wyciskiwana siłą roboczą, najczęściej w przemyśle. W dobie kryzysów gospodarczych zakłady przemysłowe zatrudniały kobiety, ponieważ mogły płacić im nieporównywalnie mniej niż mężczyznom. Dlatego robotnice zajmowały głównie niewyspecjalizowane i mało płatne stanowiska². Nie inaczej było w Żyrardowie – idealnej, bo samowystarczalnej, osadzie fabrycznej założonej w roku 1830 na terenie dóbr hr. Łubieńskich, która swój czas prosperity rozpoczęła w drugiej połowie XIX w., pod rządami Karola Hiellego i Karola Ditricha. Aby przyciągnąć okolicznych robotników do swojej fabryki wyrobów lnianych, ci dwaj wizjonerzy zbudowali im całe miasto – osiedle mieszkalne, kościoły, szpital, przytułek dla starców, szkołę. Produkcja szła pełną parą, więc rąk do pracy ciągle brakowało.

Fabryka potrzebowała kobiet i znalazła sposób, żeby je pozyskać. W 1875 r. w osadzie wybudowano ochronkę dla małych dzieci (jedną z pierwszych w Królestwie Polskim),

² M. Fidelis, *Kobiety, komunizm i industrializacja w powojennej Polsce*, tłum. M. Jaszczurowska, Warszawa 2015, s. 44–45.

³ O. Gitkiewicz, *Nie hańbi*, Warszawa 2017, s. 12–13.

co sprawiło, że załoga zaczęła się szybko feminizować. W roku 1883 kobiety stanowiły już połowę pracowników i trafiały do oddziałów fabryki, w których praca była naprawdę ciężka: do przędzalni, wykańczalni, szpularni³.

Różnice w zarobkach były wówczas sprawą oczywistą. Robotnica otrzymywała 60% dniówki mężczyzny, chłopcy – trochę ponad połowę, dziewczęta – równą połowę. Dzieci pracowały od piątego roku życia, początkowo w niepełnym wymiarze – przez 6,5 godziny – potem już na równi z dorosłymi od świtu do zmierzchu lub przez całą noc. Zazwyczaj w fabryce pracowały całe wielopokoleniowe rodziny i nie była to kwestia wyboru. Przeciętny robotnik nie był w stanie ze swojej pensji wyżywić najbliższych, zarabiać musieli wszyscy, choć kobiety pracujące np. jako cewiarki wątku

przynosiły do domu grosze. W Żyrardowie nie było innego dużego pracodawcy niż fabryka. Idealne miasto było obiegami zamkniętym.

Nic dziwnego, że socjalistyczne odezwy, nawołujące do walki o poprawę warunków pracy, znajdowały w mieście oddźwięk – także wśród robotnic, które 1 maja 1891 r. przyłączyły się do strajku i wywalczyły skrócenie czasu pracy o godzinę i zniesienie kobiecej nocnej zmiany. Z roku na rok przybywało w fabryce kobiet, które rozumiały, że ich podstawowe prawa są przez przełożonych lekceważone⁴. W robotnicach budziła się podmiotowość.

4 Tamże, s. 16–17, 29.

Za nas wszystko urządono

Wydawać by się mogło, że sytuacja kobiet na wsi była lepsza, nieprzypadkowo jednak tak dużo kobiet migrowało ze wsi do miast na służbę lub do pracy w fabryce. Codziennością wielu chłopskich rodzin były przeludnione chaty, skrajna nędza, brak edukacji i szans na lepszą przyszłość. Rodzice zmuszeni byli posyłać córki do pracy, bo godziwe życie z ziemi było luksusem dla nielicznych.

Kluczem do poprawy sytuacji najuboższych, również kobiet, była edukacja. Irena Kosmowska była tego pewna. Urodziła się 20 grudnia 1879 r. w rodzinie zaangażowanych pozytywistów – jej matka była filantropką, działała na rzecz edukacji niższych warstw społecznych; ojciec to znany lekarz, który prowadził darmowy punkt lekarski dla biedoty. Jako słuchaczka uniwersytetu we Lwowie zetknęła się z ruchem ludowym i w nim odkryła swoją drogę. Uświadomiła sobie, jak paternalistyczne było podejście jej warstwy społecznej do „ludu”. Zgodnie z ideami propagowanymi przez ludowców postanowiła pracować „z” ludem, a nie jedynie „dla” ludu.

Z tą intencją dołączyła do zespołu tygodnika „Zaranie”, który za cel stawiał sobie „uobywatelnienie” chłopów, promocję idei równouprawnienia bez względu na status majątkowy i klasę społeczną. Jako redaktorka i publicystka mogła

zająć się tematem, który był jej najbliższy – działalnością oświatową wśród ludu. Na pisaniu jednak nie poprzestała, była aktywną członkinią Towarzystwa Kółek Rolniczych im. St. Staszica, gdzie propagowała ideały samodzielności chłopów – zachęcała ich nie tylko do nowych metod upraw i spółdzielczości, ale także do zakładania bibliotek i czytelni!⁵

Chciała, żeby chłopcy mogli wreszcie sami o sobie decydować i byli świadomymi kowalami własnego losu. W 1913 r. pisała w „Zaraniu”:

[...] w Galicji mamy politykę ludowców, ale nie mamy życia ludowego; mamy przywódców, co zabiegają o głosy ludowe, ale nie mamy świadomej woli ludu, bo nie mamy gromady myślącej o życiu własnym, jeno tłum idący za tym przywódcą, który obiecuje więcej wytargować i lepiej skorzystać z okoliczności, a nie wymaga gromadnego wysiłku, [...] o sobie stanowienia. [...] będzie milion idących karnie za [...] przywódcą [...] – a polskie życie ludowe nie ruszy na krok z miejsca, jeśli każdy ludowiec nie będzie człowiekiem myślącym, [...] co wyznawane zasady [...] na każdym kroku w życiu własnym i zbiorowym, obywatelskim wprowadza [...] za dużo [...] mamy przywódców, co robią z nami politykę, a tu trzeba nam samym robić nasze nowe życie⁶.

⁵ R. Okraska, *Warszawska radykałka*, www.nowyobywatel.pl/warszawska-radykałka [dostęp: 20.08.2018].

⁶ Cyt. za: R. Okraska, *Warszawska radykałka*, dz. cyt.

Kosmowska wierzyła, że impulsem do zmiany będą porządne polskie szkoły. W jej myśli walka o samostanowienie chłopów łączyła się z przekonaniem o konieczności istnienia niepodległej Polski. Była polską patriotką i nie miała złudzeń, z jakim krajem wiązą chłopów carskie placówki. Dlatego propagowała ideę zakładania szkół rolniczych dla dziewcząt i sama pokazała, że jest to możliwe. W 1913 r. otworzyła własną szkołę w Krasieninie – osobiście dobierała kadry, tworzyła program, wykładała.

W 1951 r. prowizoryczną centralą strajku w żyrdowskiej fabryce stała się damska toaleta, gdzie nie mieli wstępu mężczyźni (zatem także funkcjonariusze UB).



W tym czasie jako przedstawicielka środowisk „zaraniarzy” zaangażowała się czynnie w politykę, współtworzyła piłsudczykowski Związek Chłopski. Jako polska patriotka jesienią 1914 r. sygnowała protest przeciwko prorosyjskiemu Komitetowi Narodowemu Polskiemu, za co carska władza wtrąciła ją do więzienia na moskiewskiej Tagance. Jej ciotka, Maria Kozłowska, zdołała wykupić ją dzięki hojnym łapówkom, ale już do końca wojny Kosmowska miała zakaz wjazdu do kraju.

Powróciła dopiero w roku 1918 i rzuciła się w wir działalności politycznej. Wstąpiła do Polskiego Stronnictwa Ludowego, współredagowała pismo „Wyzwolenie”, gdzie w dodatku „Sprawy Szkolne i Oświatowe” pisała: „Nie nawykliśmy [...] do zabierania głosu w publicznych sprawach. Za nas stanowiono, za nas wszystko urządzano – na naszą szkodę i stratę. Czas z tym skończyć. Trzeba nam się dziś na gwałt przyuczać do samodzielnego kierowania gromadzkim życiem”⁷.

Gdy w Lublinie powstał Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, Kosmowska objęła stanowisko wiceministra ds. opieki społecznej. Po odzyskaniu niepodległości została członkiem Zarządu Głównego PSL „Wyzwolenie”, ale co jeszcze ważniejsze – zdobyła mandat poselski (jako jedna z ośmiu kobiet!), a potem jeszcze dwukrotnie była wybierana jako przedstawicielka ziemi lubelskiej. Zasiadała w Komisji Spraw Zagranicznych, gdzie walczyła o prawa polskich emigrantów, a także o międzynarodową ochronę dla matek z dziećmi. Znana jest również z obrony mniejszości narodowych, które padały ofiarą bezwzględnej polityki władz

polskich. Na łamach „Wyzwolenia” w 1928 r. pytała: „Czy powstawanie zbiorowisk świadomie dążących do poprawy własnego życia obywateli jest niebezpieczeństwem dla państwa?”⁸. Nie zarzuciła też swojej pierw-

szej miłości – oświaty. Dostrzegała problemy, z którymi musi się borykać szkolnictwo w młodym państwie. Apelowała

⁷ Tamże.

⁸ I. Kosmowska, *Krzywda*, www.lewicowo.pl/krzywda [dostęp: 21.08.2018].

o prospołeczne reformy, opisywała kiepską kondycję systemu edukacji, nawoływała o powszechny dostęp do szkół dla ludzi z nizin społecznych. Zaangażowała się w działania organizacji walczących o niezależność oświaty od władz państwowych.

Kosmowska – jako gorąca patriotka – powitała odzyskanie niepodległości z entuzjazmem, jednak szybko zaczął on ustępować miejsca rozczarowaniu kształtem

9 *Lublinianka stulecia. Irena Kosmowska. Bezkompromisowa idealistka. Pierwsza kobieta w rządzie*, www.kurierlubelski.pl/strona-kobiet/kobieta-tygodnia/a/13059379 [dostęp: 21.08.2018].

ówczesnej Polski. „W polityce nie uznawała szarości. Marzyła, żeby Polska była krajem ludzi wolnych, równych, świątłych, żyjących w dostatku” – mówi Grzegorz Niecko, autor biografii działaczki⁹. Ton jej wypowiedzi stawał się coraz bardziej

krytyczny.

Czara goryczy przelała się w roku 1930, gdy w „Gazecie Polskiej” pojawił się wywiad z Piłsudskim, w którym marszałek z pogardą wypowiadał się o przeciwnikach sanacji. Podczas wiecu w Lublinie 14 września 1930 r. Kosmowska wypowiedziała jedno z bardziej brzemiennych zdań w swojej karierze: „Pozostajemy pod rządami obłąkańca”. Sanacyjna władza nie kazała jej długo czekać na reakcję i już kilka dni później skazano ją na pół roku więzienia za znieważenie władzy państwowej. Ostatecznie została ułaskawiona w trybie nadzwyczajnym przez prezydenta Ignacego Mościckiego.

W tym samym roku w wyniku sfałszowanych wyborów odebrano jej mandat poselski. Wtedy koledzy z partii ludowej zatrudnili ją w redakcji „Zielonego Sztandaru” – organu prasowego Stronnictwa Ludowego. W Radzie Naczelnej SL Kosmowska zasiadała do 1939 r. (jako jedyna kobieta!).

Po wybuchu wojny znajomi namawiali ją na ucieczkę, jednak została w Warszawie, by pomagać prześladowanym. Do końca wierna swoim ideałom, zaangażowała się w podziemny ruch ludowy (SL „Roch”). W nocy z 18 na

19 lipca 1942 r. została aresztowana przez gestapo i osadzona na Pawiaku, skąd przewieziono ją do Berlina. Tam zmarła 21 sierpnia 1945 r. wskutek ran odniesionych podczas nalotów.

Wojna kobiet

Ta wojna, która wstrząsnęła fundamentami całego świata, dla polskich kobiet miała szczególny wymiar. Już sama kampania wrześniowa 1939 r., choć trwała zaledwie kilka tygodni, kosztowała życie 60 tysięcy polskich żołnierzy. Wielu pozostałych trafiło do obozów jenieckich i obozów pracy, część zdecydowała się walczyć w partyzantce i została w lesie, jeszcze inni przedostali się na Zachód, by tam brać udział w działaniach wojennych.

Zatem już od pierwszych dni wojny dziesiątki tysięcy kobiet stanęło przed wyzwaniem utrzymania swoich rodzin w ekstremalnych warunkach terroru okupacji niemieckiej, a potem również sowieckiej. Wiele z tych kobiet przed wojną nie pracowało zawodowo, zajmowały się rodziną i domem, zatem doświadczenie okupacyjne zmusiło je do całkowitego przeorientowania swojej roli i zdobycia zupełnie nowych umiejętności.

Spory odsetek kobiet znalazł zatrudnienie w nieprzerwanie funkcjonującej produkcji przemysłowej (w Generalnym Gubernatorstwie liczba osób pracujących w przemyśle w czasie wojny wzrosła o 600 tys. w porównaniu do okresu międzywojennego, 87 tys. nowych robotników stanowiły kobiety¹⁰). Legalne zatrudnienie pozwalało na przetrwanie, ale warunki pracy dalece odbiegały od normy. Mimo to zakłady pracy do końca wojny były ważnym punktem polskiego oporu – robotnicy i robotnice organizowali akcje sabotażowe, żeby osłabić siły wroga.

Nic dziwnego, że w obliczu dramatycznych doświadczeń czasu wojny wiele kobiet pragnęło czynnie włączyć się w walkę z okupantem. Kobiety w czasie wojny należały

¹⁰ M. Fidelis, *Kobiety, komunizm i industrializacja w powojennej Polsce*, dz.cyt., s.52.

II wojna światowa zmusiła kobiety do tego, by wykazały się ogromnym hartem ducha, siłą i zapobiegliwością. Cechy te okazały się bardzo przydatne w powojennej polskiej rzeczywistości.



do ruchu oporu, zazwyczaj nie zajmowały się bezpośrednio walką zbrojną, ale zabezpieczały teren, odpowiadały za łączność, aprowizację i opiekę medyczną (choć garstka z nich dołączyła do grona oficerów i dowodziła nawet męskimi pododdziałami). Istniały również oddziały złożone z samych kobiet (jak jednostka dywersji i sabotażu kobiet „Dysk” należąca do Armii Krajowej albo batalion imienia Emilii Plater w ramach Ludowego Wojska Polskiego). Liczbę kobiet działających w formacjach wojskowych w czasie całej wojny szacuje się na 14 tys.

II wojna światowa zmusiła kobiety do tego, by wykazały się ogromnym hartem ducha, siłą i zapobiegliwością. Szybko okazało się, że są to cechy bardzo przydatne w powojennej polskiej rzeczywistości.

Toaletowe buntowniczk

Wojenna odwaga polskich kobiet nie pozostała niedostrzeżona. Rodziły się nawet teorie propagujące ideę nowego matriarchatu. W 1948 r. socjolog Stanisław Szanter wydał książkę *Socjologia kobiety*, w której pisał:

Ostatnia wojna całkowicie podważyła i skompromitowała ustrój patriarchalny. [...] Tylko zbawczy instynkt macierzyński kobiety, organicznie wpleciony do polityki międzynarodowej, może uchronić ludzkość od zguby, a cywilizację od zagłady¹¹.

Zdaniem Szantera wyrazem nadchodzącego matriarchatu miały być kobiety w przemyśle i trudno w jego teoriach – z dzisiejszej perspektywy dość kuriozalnych – nie dopatrzyć się reakcji na gwałtowną zmianę społeczną, jaką była

powojenna aktywizacja zawodowa kobiet (często przy wsparciu samych zainteresowanych – w 1947 r. w Radomiu i Łodzi bezrobotne kobiety wyszły na ulice, domagając się pracy¹²).

11 S. Szanter, *Socjologia kobiety*, Warszawa 1948, s. 405, 408.

12 O. Gitkiewicz, *Nie hańbi*, dz. cyt., s. 32.

Nowe polskie władze nazywały ten proces „produktywizacją kobiet” i uczyniły z niego element budowania nowego

porządku społecznego. Na początku lat 50. kobiety mogły podejmować pracę w tradycyjnie męskich zawodach – np. w górnictwie czy hutnictwie – które często były podobnie wyczerpujące jak te kobiece, ale za to dużo lepiej płatne, a zazwyczaj również związane z premią i dodatkowymi świadczeniami. Kobiety korzystały z tej sposobności, wyrabiały kolejne rekordy normy współzawodnictwa, słuchały obowiązkowych pogadarek o planie sześcioletnim, a potem biegły odebrać dzieci z przedszkola, odstać swoje w kolejkach do słabo zaopatrzonych sklepów i ugotować obiad.

To właśnie puste półki sklepowe stały się impulsem do strajków w żyrdowskich fabrykach. 12 lipca 1951 r. – czyli w czasie najcięższych stalinowskich represji – 200 z 250 pracownic tkalni bawełny odmówiło podjęcia pracy. Strajk szybko zaczął rozlewać się po całej fabryce i miesiąc później, 16 sierpnia, od maszyn odeszło już prawie 700 kobiet. Prowizoryczną centralą strajku stała się damska toaleta, gdzie nie mieli wstępu mężczyźni (zatem także funkcjonariusze UB). Początkowy brak reakcji władz fabryki sprawił, że 17 sierpnia strajkowało już prawie 2000 osób.

I pod koniec XIX wieku, i ponad pół wieku później to przede wszystkim kobiety brały sprawy w swoje ręce. W 1883 roku najgorzej opłacane pracownice fabryki, szpularki, doprowadziły do rozruchów, gdy zarząd chciał im obniżyć pensje. [...] Latem 1951 roku kobiety, matki, żony i córki, które na co dzień łudzono wizją nowego wspaniałego świata, nie widziały tego świata nawet na sklepowych półkach.

Ale po trzech dniach strajku mogły powiedzieć „pas” [...]. Toaletowe buntowniczkę przechytrzyły system¹³.

13 Tamże, s. 38.

*

W roku 1918 polskie kobiety wywalczyły sobie bierne i czynne prawa wyborcze. Pojęcie „odzyskanie niepodległości” nabiera w tym kontekście dodatkowego smaczku.

W historii Polek był to symboliczny krok na drodze ku wolności i samostanowieniu. Przez ostatnie stulecie kobiety aktywnie współtworzyły kulturę naszego kraju – walczyły w czasie wojny, tworzyły ruch opozycyjny w PRL, odbudowały państwo po roku 1989. Ich wkład – choć nie zawsze widoczny i odpowiednio doceniony – nie pozostawia wątpliwości, że nie byłoby wolnej Polski bez wolnych Polek.

Ćwiczenia z empatii

Halina Skibniewska

Beata Chomętowska

Rosną dziś w siłę grupy mieszkańców dostrzegających współczesny chaos przestrzenny. Postrzegają oni miasto jako przestrzeń wspólną, uwzględniającą potrzeby nie tylko najsilniejszych czy najbogatszych użytkowników. Punktem odniesienia dla wielu z nich są wysiłki działaczy przedwojennych.

„Co on mi zrobił?” – żali się Halina Skibniewska dziennikarzowi Jerzemu Majewskiemu z „Gazety Wyborczej” podczas rozmów, jakie odbywa z nim między 2005 a 2006 r. „On” to Stefan Kuryłowicz, którego pracownia skończyła właśnie wznosić niewielki biurowiec przy ulicy płk. Francesco Nullo w Warszawie. Architektka nie może wybaczyć młodszemu koledze, że czarna ściana budynku zaburzyła widok z okien jej mieszkania

przy Frascati. Dotąd od strony ogródka było widać tylko zieleni skarpy wiślanej.

Mieszkanie – dobro luksusowe

Przed drugą wojną światową Frascati – podobnie jak pobliskie Aleje Ujazdowskie, aleja Róż, Piękna – też uchodzi za dobry adres. Stawiane w okolicy gmachy mają niewiele wspólnego z przeciętną warszawską kamienicą, zamieszkałą średnio przez 80 osób (dane z 1931 r., przytaczane przez Eugeniusza Szwankowskiego w książce *Warszawa*). Lokatorzy takiego domu mogą mówić o szczęściu, jeśli ma on dostęp do urządzeń higienicznych, elektryczności czy bieżącej wody (standard, jaki zapewnia tylko 44% gmachów mieszkalnych w stolicy). Dobrze, gdy można korzystać chociaż z ubikacji i kranu na korytarzu. Dwie trzecie lokatorów gnieździ się w suterrenach lub na poddaszu – zwarta zabudowa Warszawy składa się w dużej mierze z kilkupiętrowych czynszówek o podwórzach otoczonych ze wszystkich stron murami domów. Słońce zagląda tam rzadko lub wcale, w mieszkaniach panuje nieustanny zaduch. Szczególnie gęsto i ubogo jest na Woli, gdzie jedną izbę zajmują przeciętnie 3 osoby, oraz w innych, bardziej peryferyjnych robotniczych dzielnicach: Pelcowiźnie, Targówku, Bródnie.

Władze chwalą się, że miasto buduje: w sierpniu 1939 r. Warszawa ma 654 tys. izb mieszkalnych, co znaczy, że w ciągu dwudziestu lat od odzyskania przez Polskę niepodległości przybyło ich ponad 201 tys. „Izba” to w tym przypadku słowo klucz; prawie 43% zasobów miasta stanowią mieszkania jednoizbowe, a światowe statystyki operują wskaźnikiem zagęszczenia osób na jedną izbę. Określenie „miasto buduje” również jest nie w pełni precyzyjne; budują bowiem głównie spółki i prywatni inwestorzy dysponujący kapitałem. W 1931 r. należy do nich 96% wznoszonych w Polsce domów. Rządzi wolny rynek. W stolicy inwestuje się głównie w duże mieszkania przeznaczone dla zamożnych klientów. I choć na utrzymanie 90 czy 120 m

stać nielicznych, to w porównaniu z mieszkaniem jednoizbowym, jakim musi zadowolić się 37,7% warszawiaków, czynsz za tak duże lokum kształtuje się całkiem przyzwoicie, nie tylko ze względu na status materialny jego lokatorów. Najmniejsze mieszkanie jest zarazem najdroższe. Udział komornego w budżecie robotniczej rodziny stale rośnie – z 5% w 1925 r. do 11% w 1935 r. Przeciętny robotnik bez częstych podwyżek nie ma szans wydawać więcej na mieszkanie, bo zabrakłoby mu środków na wyżywienie, zatem własny kął staje się towarem coraz bardziej nieosiągalnym. Błędne koło. Ale na taką samą barierę natrafiają również przedstawiciele innych klas społecznych, choćby urzędnicy niższego szczebla.

Biuro Odbudowy Stolicy

Siedemnastoletnia Halina Erentz studiuje informacje o przeludnionych izbach w robotniczych dzielnicach i „bieda-domach” kleconych na peryferiach przez ludzi, których nie stać nawet na lichego dach nad głową. Przed wybuchem wojny nie ma szans cokolwiek zmienić – jest najmłodszą studentką na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Kwestia mieszkaniowa, którą prezydent stolicy Stefan Starzyński po czterech latach urzędowania określi jako „tragiczną, szczególnie dla ubogich”, bezpośrednio jej nie dotyczy – pochodzi z dobrze sytuowanej, inteligenckiej rodziny. Ojciec, urzędnik w Ministerstwie Komunikacji, zapewni córce staranne wykształcenie: Gimnazjum Żeńskie im. Noakowskiego, z greką, łaciną, francuskim, później studia architektoniczne. Czytać Halina nauczy się już w wieku pięciu lat.

Wrażliwość społeczną wyniesie z domu, zorientowanego postępowo, jak domy wielu zasymilowanych rodzin żydowskich, a umocni się w swoich przekonaniach w środowisku, z którym zetknie się na studiach i w trakcie tajnych kursów podczas okupacji. Środowisko tworzą starsi od niej, zorientowani lewicowo architekci z kręgu

**Powojenna euforia,
że wreszcie można
budować dobrze,
nowocześnie i jedna-
kowo dla wszystkich –
usycha, wciśnięta
w gorset socrealizmu.**



awangardowej grupy Praesens i działacze Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej: Helena i Szymon Syrkusowie, Tadeusz Kotarbiński, małżeństwo Ossowskich. Podobnie jak ich koledzy z innych krajów europejskich – Walter Gropius, Cornelis van Eesteren, Le Corbusier – głoszą idee współtworzonej Karty Ateńskiej, określającej nowoczesne standardy mieszkaniowe, oraz próbują stworzyć pierwsze w Polsce społeczne osiedla, gdzie nawet najuboższy robotnik mógłby mieszkać godnie. Udaje się im to zaledwie na skromną, pilotażową skalę na warszawskim Żoliborzu i Rakowcu. Na ambitne zamierzenia brakuje środków, poparcie polityczne jest niewystarczające. Wszystko przerywa wojna.

Ci, którzy przeżyli, spotykają się w Biurze Odbudowy Stolicy – instytucji, która ma podźwignąć Warszawę z gruzów. Jest w tym gronie i Halina Erentz. A także starszy od niej o czternaście lat Zygmunt Skibniewski, z którym poznała się w kręgu WSM. Podczas okupacyjnych zajęć wykładał urbanistykę, opracowywał tajny plan odbudowy Warszawy. Zdążył pracować u samego Le Corbusiera, był na stypendium w Paryżu. Zabiega o względy Haliny, której imponuje wiedzą i doświadczeniem. Ona jednak – otoczona przez młodszych adoratorów – nie od razu decyduje się na ślub.

Będą razem przez kilka dekad, aż do śmierci Zygmunta w 1994 r. Romans modernistycznych architektów z bliską im ideowo władzą szybko przyniesie rozczarowania. Powojenna euforia, że wreszcie można budować dobrze, nowoczesnie i jednakowo dla wszystkich, usycha, wciśnięta w gorset socrealizmu. Ledwie władza zdejmie im go na krótko, wejdą gomułkowskie oszczędności, a potem – po równie krótkim upojeniu możliwościami Gierka – technologia wielkiej płyty, typizacja i znów zaciskanie pasa. Choć buduje się niepomiernie więcej niż przed wojną – tylko w latach 1970–1978 ponad 2,1 mln mieszkań oddanych do użytku – wkracza monotonia, szarość i bylejakość. Czyli wszystko, co dziś kojarzy się Polakowi z niechcianą schedą po poprzednim ustroju.

Osiedle Przyszłości – miasto bez barier

Mieszkańcy Sadów Żoliborskich w 2011 r. dziwią się, czemu krytyk architektury Jarosław Trybuś zorganizował spotkanie promujące swoją książkę *Przewodnik po warszawskich blokowiskach* w tamtejszym barze „Sady”. I czemu ich osiedle w ogóle znalazło się w przewodniku. Dotąd nie mieli świadomości, że mieszkają w blokach.

Halina Skibniewska podczas XIV Kongresu Międzynarodowej Unii Architektów w Warszawie w 1981 r. dowodzi:

Pragnę rozwiązań funkcjonalnych, solidnego wykonania. Dążę do nadania każdemu osiedlu odrębnego, indywidualnego wyrazu poprzez najściślejsze nawiązanie do konkretnych warunków, do atmosfery miejsca, otoczenia, tradycji, historii, krajobrazu. Staram się zachować naturalne warunki [...]. Człowiek, żyjąc w zindywidualizowanym otoczeniu, identyfikuje się z nim łatwiej, jest do niego przywiązany, lubi je, dba o nie¹.

¹ D. Bartoszewicz, *Super-Gomułka design*, dodatek do warszawskiej edycji „Gazety Wyborczej”, 16.05.1998.

Pierwsze osiedle mieszkaniowe jej projektu – Sady Żoliborskie – realizowane dla Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, zaczyna powstawać na fali gomułkowskiej odwilży. Pierwsze i ostatnie, na którego kształt miała pełny wpływ. Blisko przedwojennych osiedli WSM, tonie w zieleni wyrosłej wcześniej, gdy na terenie przeznaczonym pod budowę istniały ogródki działkowe. Z balkonów mieszkańcy widzą kwitnące jabłonie. Bloki są kameralne. Mimo gomułkowskich normatywów Skibniewska robi, co może, żeby mieszkańcy nie czuli się jak zamknięci w ciasnych, ciemnych pudełkach – walczy o wysokość mieszkań. Rozmieszcza klatki schodowe pośrodku kwadratowych budynków, by okna wychodziły na dwie strony świata. Łączy cegłę żerańską z tynkiem na elewacjach. Powtarza, że ludzie muszą mieć możliwość życia również poza mieszkaniem, stąd przestrzeń do zabaw dla dzieci i budynki społeczne, jak wspomniany bar „Sady”. Wymyśla

nawet przestawne elementy umożliwiające zmianę układów mieszkań.

Najbardziej futurystyczny, jak na tamte czasy, jest projekt Białołęki Dworskiej, „osiedla-miasteczka” dla dwudziestu tysięcy osób, powstający na zamówienie ekipy Gierka w ramach wielkiego programu PR-5, który ma przynieść „pokoleniu drugiej Polski” również modelowe Osiedla Przyszłości.

Skibniewska chce, aby jej osiedle było pierwszym w kraju miastem otwartym, bez barier, również dla osób z niepełnościami. Nikt dotąd nie zwrócił uwagi na to, że popularne w latach 60. i 70. przejścia podziemne czy ruchome schody nie zakładały w ogóle istnienia w społeczeństwie ludzi mniej sprawnych, określanych wówczas brutalnie jako „kalecy”. Architektka projektuje mieszkania dostosowane do ich potrzeb, rozsiane w różnych budynkach – by nie tworzyć gett i uwrażliwiać mieszkańców. Drugi istotny element to przyroda – osiedle ma stać w krajobrazie starorzecza Wisły, gdzie zachowały się piaszczyste wydmy, las z sędziwymi dębami i resztki dawnej zabudowy podmiejskiej. Projektantka ma nadzieję, że opierając się na studiach nad równowagą ekologiczną, uda się jej stworzyć „w pełni optymalny model biotypu człowieka”. Niestety prace zostają wstrzymane, bo w kraju funkcjonującym na kredyt kończą się pieniądze. Osiedla Przyszłości do dziś istnieją jedynie na papierze.

Wywalczona samodzielność

– Bohdan Pniewski, Romuald Gutt to byli nasi idole – wspomina architekt Tadeusz Mycek, rocznik 1938. – Do ich pracowni było najtrudniej się dostać, wszyscy chcieli robić tam dyplomy.

Skibniewska po studiach decyduje się na Gutta, który wciąga ją do pracy dla Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Po latach projektantka wskazuje go jako największą inspirację: – On miał to patrzenie „twarzą w twarz”, rozumiał skalę człowieka i jego miejsce [...] w świecie

Po transformacji dogmatowi własności i pieniądza podporządkowano prawo o zagospodarowaniu przestrzennym, wprowadzając zasadę „co niezakazane, to dozwolone”.



przyrody – powie w 1977 r. Czesławowi Bieleckiemu. – Było w tym tyleż miłości, co wiedzy o człowieku. Kiedy projektowaliśmy u Gutta drzwi, to wiedzieliśmy, że zawsze lepiej, żeby miały np. metr dziewięćdziesiąt dziewięć niż dwa metry².

Drugie źródło inspiracji Skibniewskiej to Zachód. Na fali odwilży po 1956 r., gdy polscy architekci mogą wreszcie zobaczyć na własne oczy, jak buduje się po tamtej stronie żelaznej kurtyny, poznaje Francję (swoją największą – odwzajemnioną – miłość), Skandynawię, wygłasza wykłady we Włoszech. W 1964 r. spędza trzy miesiące na stypendium w Anglii i Szwajcarii. Z wojaży przywozi innowacyjne pomysły.

– Dość szybko wiedzieliśmy z Zygmuntem, że nasze sympatie nie przystają do praktyk PRL – mówi w 2000 r. Agnieszce Wróblewskiej. – Ale co miało wynikać z tej świadomości? Czy lepiej iść na emigrację wewnętrzną, czy wybudować dom? Wybrałam pozytywizm.

W 1972 r. napomina z sejmowej mównicy:

Nasze społeczeństwo może być nie tylko odbiorcą, nie może być tylko użytkownikiem mieszkania, ale także uczestnikiem i współtwórcą jego budowy. Dla kogo budujemy mieszkania? Dla użytkowników. A w związku z tym najważniejsze jest ustalenie, jacy to są użytkownicy, jakie mają potrzeby i jakie mają aspiracje. Zapominamy często, że potrzeba jest to materia żywa, dynamiczna, że się zmienia³.

² *Problemy z Witruwiusza*, z Haliną Skibniewską rozmawia Czesław Bielecki, „Architektura” 1977, nr 3–4.

³ Cyt. za A. Wróblewska, *Łapcie przestrzeń w okna*, „Gazeta Wyborcza” 13.05.2000.

Już do dyrektora przedsiębiorstwa wznoszącego pierwszą część osiedla Sady Żoliborskie wpływały zażalenia od wartownika pilnującego budowy, że Skibniewska budzi go codziennie o wpół do szóstej rano, żądając klucza do bramy, by doglądać robót. W trakcie projektowania rozmawiała z dziećmi, bo te „rozumowały racjonalniej niż wielu dorosłych”. Ubrana w szarą sukienkę i francuskie buciki, z małym plecakiem na ramieniu wizytuje własne budowy albo zwiedza cudze. Angażuje się bezpośrednio również politycznie. Jej kandydaturę

do sejmu wysuwają w 1965 r. lokatorzy Sadów. W ławach poselskich spędzi 20 lat, za Gierka jako przedstawicielka bezpartyjnej inteligencji zostaje pierwszym wicemarszałkiem kobietą w historii polskiego parlamentaryzmu. Dzięki temu zyskuje mieszkanie na Frascati, ale również poczucie, że może więcej. Broni jakości, nawet gdy decydenci zarzucają jej, że „woli, żeby ludzie mieszkali pod mostem”.

Nowy suweren, nowe rozwiązania

Socjolożce Małgorzacie Leszczyńskiej, która odwiedzała Skibniewską wielokrotnie w 2001 r., przygotowując pracę magisterską na temat wielkopłytkowego osiedla Wawryszew, powie po latach, że podmiotowość architektów skończyła się wraz z latami 60. i nadejściem epoki wielkiej płyty. – Potem trzeba było już tylko budować z katalogu.

Gdy wypowiada te słowa, dookoła niej panują już inne realia. – W pewnym sensie sytuacja wróciła do punktu wyjścia, czyli do stanu sprzed wojny – mówi Leszczyńska. – Znowu decyduje głównie pieniądź, zaś architekt ma innego suwerena. PRL-owską władzę zastąpił prywatny inwestor.

Z danych Głównego Urzędu Statystycznego przebija optymizm – od stycznia do czerwca 2018 r. liczba mieszkań oddanych do użytku wzrosła w porównaniu z 2017 r. o 6,3%. Wśród inwestorów, którzy ukończyli w tym czasie ponad 83 tysiące mieszkań, dominują deweloperzy oraz inwestorzy indywidualni. Program „Mieszkanie Plus” zakłada, że do 2030 r. powstanie dodatkowych 300–500 tysięcy lokali.

Obraz staje się mniej optymistyczny, gdy dostrzeżemy, że polityką budowlaną w polskich miastach po transformacji rządziło kulawe prawo i pieniądź, odkąd administracja, kierowana pragmatyczną potrzebą pozyskania brakujących środków na inwestycje, przystała na ograniczenie swojej roli na rzecz prywatnego przedsiębiorcy, dysponującego odpowiednim kapitałem i siłą przebicia. Dogmatowi własności i pieniądza podporządkowano też prawo o zagospodarowaniu przestrzennym, wprowadzające zasadę „co niezakazane,

to dozwolone”. A że początkowo nikt nie oponował – prywatna własność była czymś wyjątkowo pożądanym przez obywateli zmęczonych systemem, który stawiał na wymuszoną wspólnotowość. Obecnie na krajobraz polskich miast składa się chaos przestrzenny, deweloperskie osiedla w szczerym polu, korki na drogach dojazdowych i szpecące krajobraz wielkie banery reklamowe.

Na szczęście od ponad dekady widać też nowe zjawisko – rosnące w siłę grupy mieszkańców dostrzegających dotychczasowe dysproporcje i podburzających do zmiany. Postrzegają miasto jako przestrzeń wspólną, uwzględniającą potrzeby nie tylko najsilniejszych czy najbogatszych użytkowników. Punktem odniesienia dla wielu z nich są przedwojenne wysiłki środowiska WSM i Praesensu. Warszawski Standard Mieszkaniowy, który właśnie powstał w stolicy, zakłada m.in., że inwestorzy budujący na miejskich gruntach będą tworzyć mieszkania o elastycznym rozkładzie, tak by umożliwiały ich dostosowanie do potrzeb osób z niepełnosprawnościami i o różnych potrzebach, a także z poszanowaniem istniejącej zieleni.

Skibniewska – prekursorka ćwiczeń z empatii – pokiwałaby z aprobatą głową.

*

Małgorzata Leszczyńska o rozmowach z architektką: – Nie miała w sobie nic z wyniosłej pani profesor. Każde spotkanie z nią zaczynało się od wiśni w porto, serwowanych na talerzyku z rżniętego kryształu. Te wiśnie utkwiły mi w pamięci najbardziej. Kojarzą się z tym, o czym mówiła i co pokazywała własnym podejściem do życia – rozmawiamy o ważnych sprawach, ale niechże będzie nam też podczas tej rozmowy przyjemnie.

Czyli: rzecz nie w budowaniu w ogóle, lecz w budowaniu tak, żeby ludziom mieszkało się dobrze.



Ból ludzi bólem Kościoła

ks. Franciszek Blachnicki

Zbigniew Nosowski

Jak to się stało, że po 1989 r. Kościół rzymskokatolicki w Polsce potrafił tak błyskawicznie roztrwonić olbrzymi kapitał społecznego zaufania? I jeszcze ciekawsze – jak to się stało, że ten sam Kościół w tej samej Polsce potrafił następnie ten kapitał w dużej mierze odbudować?

Zapewne w dość minorowych nastrojach jechali przedstawiciele Konferencji Episkopatu Polski w styczniu 1993 r. do Watykanu na wizytę *ad limina apostolorum*, jaką wszyscy biskupi składają papieżowi średnio co 5 lat. Nie mogli przewidzieć, że to spotkanie będzie początkiem istotnego zwrotu w dziejach Kościoła rzymskokatolickiego w III Rzeczypospolitej.

Nic dziwnego, że było im niełatwo. Społeczny autorytet Kościoła – zaledwie trzy lata wcześniej sięgający aż 90% zaufania i pozytywnych ocen – kruszał bardzo szybko. Jesienią 1992 r. odsetek negatywnych opinii Polaków o działalności Kościoła rzymskokatolickiego przewyższył liczbę opinii pozytywnych. Poziom aprobaty nadal miał szybko spadać – aż do połowy roku 1993, gdy wynosił zaledwie 38%. O tym jednak biskupi wówczas nie wiedzieli. Jak również o tym, że właśnie od roku 1993 nastąpi odwrócenie trendu i stopniowo społeczne „notowania” Kościoła będą wzrastały aż do – stabilnego przez następne prawie 20 lat – wysokiego poziomu około 60–70% (a trzeba pamiętać, że również dziś w skali ogólnospołecznej wizerunek Kościoła jest dużo lepszy niż 25 lat temu).

Problem był wtedy rzeczywiście poważny. Kościołowi jako instytucji trudno było odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Niewielu ludzi Kościoła miało świadomość, że nowe wino trzeba wlewać w nowe bukłaki – tzn., że w demokratycznej Polsce wpływ katolików na życie społeczne powinien być wywierany i w odmienny sposób niż w komunistycznej PRL, i inaczej niż w Polsce przedwojennej (bo przecież zdarzył się jeszcze „po drodze” II Sobór Watykański, który w tej akurat dziedzinie miał dużo ważnego do powiedzenia). Chętnie sięgano po rozwiązania sprawdzone, nie zastanawiając się, czy są one właściwe tu i teraz – np. bp Sławoj Leszek Głódź ochoczo odbudowywał duszpasterstwo wojskowe całkowicie w oparciu o wzorce znane z II RP: kapelanów ubierano w mundury, nadawano im natchmiast oficerskie stopnie wojskowe, przyznawano przyśługujące z tego powodu przywileje.

Kościół w dół – i w górę

Jak to się stało, że po przełomowym roku 1989 Kościół rzymskokatolicki w Polsce potrafił tak błyskawicznie roztrwonić olbrzymi, niespotykany we współczesnym świecie, kapitał społecznego zaufania? I jeszcze ciekawsze – jak

to się stało, że ten sam Kościół w tej samej Polsce potrafił następnie ten kapitał odbudować? Jak to możliwe, by najpierw tak szybko przestać być dla Polaków autentyczną, powszechnie uznaną instytucją zaufania publicznego – a później ten status w dużej mierze odzyskać?

Powody spadku poparcia dla Kościoła w latach 1989–1993 były, moim zdaniem, trojaki. Po pierwsze, pozycja Kościoła po latach komunizmu była tak wysoka, że spadek opinii pozytywnych był nieuchronny (tzw. efekt sufitowy), tym bardziej że Kościół z natury swej nie szuka popularności, lecz głosi wysokie wymagania.

Po drugie, wpłynęły na to błędy popełniane przez ludzi Kościoła w pierwszych latach polskiej wolności, pozwalające podejrzewać, że chcą mieć teraz bezpośredni wpływ na władzę. Na przykład w 1991 r. z Sekretariatu Episkopatu Polski rozsyłano do parafii niepodpisaną ulotkę z listą partii, na które może głosować katolik. W wyborach parlamentarnych roku 1991 startował wówczas – wspierany przez wielu biskupów – komitet wyborczy pod nazwą Wyborcza Akcja Katolicka (zbudowany wokół Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, w którym wówczas działali ramię w ramię Marek Jurek i Stefan Niesiołowski). Aprobata dla użycia przymiotnika „katolicki” (a nawet „Akcja Katolicka”!) w szyldzie wyborczym była jawnie sprzeczna z nauczaniem społecznym Kościoła.

Po trzecie jednak, był to także owoc mentalności postkomunistycznej: wielu Polaków za normę uznało model obecności Kościoła w życiu publicznym ukształtowany za PRL i wszystkie nowe wydarzenia – takie jak powrót lekcji religii do szkół czy kapelanów do szpitali, więzień lub wojska – traktowane były (nawet przez wybitnych intelektualistów) jako zagrożenie państwem wyznaniowym, podczas gdy sytuacje takie są standardem w społeczeństwach demokratycznych.

Rzymskie spotkanie biskupów z Janem Pawłem II było pierwszym impulsem, który doprowadził do przemiany

Im bardziej Kościół dystansował się od władzy, im bardziej przechodził z pozycji gracza politycznego na pozycję autorytetu moralnego – tym bardziej stawał się dla społeczeństwa godny zaufania.



w samym Kościele, a później stopniowo także do zmiany społecznego postrzegania Kościoła. Papież stanowczo przestrzegał przed utożsamianiem Kościoła z jakąkolwiek partią polityczną. Efektem tej wizyty była postawa Konferencji Episkopatu Polski w wyborach 1993 roku – sformułowano wówczas zasadę „nie można być dobrym katolikiem, nie będąc dobrym obywatelem”. Mniej było w języku episkopatu argumentacji typu „Polak-katolik”, w zamian za to pojawił się język „katolik-obywatel”. Wyraźnie wyciągnięto wnioski z poprzednich błędów.

Zaczął się zmieniać publiczny wizerunek Kościoła, czego symbolem stał się wybrany w 1993 r. na sekretarza KEP bp Tadeusz Pieronek – prezentujący „bardziej ludzką” twarz Kościoła, życzliwą światu i uśmiechniętą. Medialna popularność sekretarza (i *de facto* rzecznika) episkopatu stała się bardzo cenna w procesie odzyskiwania przez Kościół utraconego zaufania społecznego. Zmiana ta była zresztą na tyle trwała, że opinia publiczna nie uznała odsunięcia na bok bp. Pieronka przez KEP pięć lat później za coś istotnie zmieniającego obraz Kościoła.

Pluralizm jako znak czasu

Najdojrzalszym owocem tego okresu wewnętrznej odnowy w Kościele jest – przyjęte w głosowaniu we wrześniu (a opublikowane w październiku) 1995 r. przez całą Konferencję Episkopatu Polski – *Orędzie biskupów polskich o potrzebie dialogu i tolerancji w warunkach budowy demokracji*¹.

¹ Wszystkie cytaty za wydaniem: *Orędzie biskupów polskich o potrzebie dialogu i tolerancji w warunkach budowy demokracji*, w: *Świadectwo dialogu*, Tarnów 1997. Dokument ten, jak się okazuje, był niedostępny w internecie – postanowiliśmy więc zamieścić go w całości w naszym serwisie internetowym Wiez.pl (zob. www.bit.ly/orędzie-1995).

Dziś jest to dokument niemal całkowicie zapomniany. Od czasu do czasu przypomina o nim jedynie jeden z jego głównych (obok abp. Józefa Życińskiego) autorów – abp Henryk Muszyński, który od 1994 r. był wiceprzewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski.

W obszernym orędziu możemy przeczytać m.in., że Kościół uznaje pluralizm za

„cechę współczesnych społeczeństw”. W pluralizmie Kościół widzi istotny znak czasu, rozumiany jednak nie jako „bezpośrednie zagrożenie, lecz raczej pewien wyraz dojrzałości, jaką osiągnął człowiek współczesny”. Biskupi wskazują też na najgłębsze podstawy dialogu, przywołując postawę samego Boga, który „ustawicznie przemawia do ludzi językiem ludzkim”. Skoro zatem „dialog Boga z ludźmi ma charakter uniwersalny, będąc skierowanym do wszystkich ludzi, stąd i dialog Kościoła musi objąć wszystkich ludzi dobrej woli, nie wykluczając nikogo, kto szczerym sercem szuka prawdy”.

Wielkie znaczenie ma również zarysowanie w orędziu teologicznych perspektyw twórczego dialogu Kościoła ze współczesnością. Biskupi przekonują, że od świata i jego problemów nie można uciekać przez „pielęgnowanie wyidealizowanej wizji przeszłości, zamknięcie się na nowe prądy i idee epoki, akcentowanie lęku jako podstawowej reakcji wobec zachodzących przemian”. Takiej postawy nie można pogodzić z Jezusowym posłaniem uczniów do świata, któremu trzeba głosić Ewangelię. Ten świat nie jest dla chrześcijan czymś obcym – jak bowiem czytamy w orędziu, jego ból, ból społeczeństwa pluralistycznego „pozostaje również bólem Kościoła”.

W takiej perspektywie postawa dialogu nie jest jedynie wyrazem taktyki przyjętej w danej chwili, lecz wypływa z zasad teologicznych. „Posłannictwo, które nie byłoby przeniknięte duchem dialogu, byłoby sprzeczne z wymogami prawdziwego człowieczeństwa i ze wskazaniem Ewangelii”. Podczas prezentacji orędzia jeden z dziennikarzy wyraził niepokój, że tym dokumentem biskupi zdają egzamin z „politycznej poprawności”. „A kto powiedział, że Kościół ma być z założenia politycznie niepoprawny?” – ripostował bp Józef Życiński, wówczas biskup tarnowski.

Bliżej społeczeństwa, a nie władzy

Język i duch tego orędzia wydaje mi się owocem poważnej refleksji nad „złotymi czasami” Kościoła w Polsce. Chodzi

2 T. Mazowiecki, *Chrześcijaństwo a prawa człowieka*, w: *Chrześcijaństwo wobec praw człowieka*, Paris 1980, s.20. Był to referat wygłoszony przez redaktora naczelnego „Więzi” podczas pamiętnej sesji w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej 8–16 listopada 1977 r. Tekst jest również dostępny pod adresem: www.wiez.com.pl/chrześcijanstwo-a-prawa-czlowieka.

o lata 70. i 80. XX wieku. Najpierw – używając formuły Tadeusza Mazowieckiego – Kościół rzymskokatolicki w czytelny dla wszystkich sposób przeszedł „od obrony praw religii i Kościoła do obrony praw człowieka”². Konsekwencją tego była sytuacja lat stanu wojennego, kiedy to pod skrzydłami Kościoła chroniły się wszelkie społeczne inicjatywy niezależne od władzy, nie wyłączając artystów i dziennikarzy (czyli tych środowisk, którzy dziś najczęściej są „na bakier” z Kościołem).

Jakie można z tych doświadczeń wyciągnąć wnioski na dziś co do społecznej roli Kościoła? Przede wszystkim ten, że Kościół jest oceniany przez Polaków tym bardziej krytycznie, im bardziej (w rzeczywistości lub wedle medialnego czy stereotypowego wizerunku) zbliża się do władzy politycznej. Im bliżej było po roku 1989 Kościołowi do władzy, tym słabszy stawał się jego społeczny autorytet – można to znakomicie zaobserwować w latach 1989–1993, 2005–2007 i obecnie. Nie jest to nowe odkrycie. Od dawna wiadomo doskonale, że sojusz ołtarza z tronem niekoniecznie pomaga rządzącym, a źle służy Kościołowi. Sprzyja natomiast autorytetowi Kościoła zachowywanie większego dystansu wobec bieżącej polityki. Im bardziej Kościół dystansował się od władzy, im bardziej przechodził z pozycji gracza politycznego na pozycję autorytetu moralnego – tym bardziej stawał się godny zaufania.

Najlepiej zatem opierać siłę katolicyzmu na związkach ze społeczeństwem, oddziaływać przez kulturę i obyczaje, a nie liczyć na przywileje udzielane przez władzę. Pozornie z tym akurat nie powinno być w Polsce wielkich problemów, bo w naszej historii społeczne znaczenie katolicyzmu tradycyjnie opierało się właśnie na związkach wiary z narodem i kulturą, a nie na politycznej pozycji Kościoła. Taka relacja między Kościołem a życiem publicznym jest zresztą zgodna

**W pluralizmie Kościół
widzi istotny znak
czasu, nie „bezpośrednie
zagrożenie, lecz
raczej pewien wyraz
dojrzałości, jaką osią-
gnął człowiek współ-
czesny” – pisali polscy
biskupi w 1995 r.**



nie tylko z polską tradycją, lecz także ze współczesnym nauczaniem społecznym Kościoła, które zrezygnowało z prób projektowania idealnego społeczeństwa, a zwłaszcza państwa katolickiego – prezentuje natomiast zasady moralne, kryteria ocen i wskazówki działania, które można stosować w różnych kontekstach społecznych.

W III RP dzięki zapisom konstytucji i konkordatu zdołaliśmy w Polsce wypracować (przynajmniej teoretycznie) dobry model relacji Kościół–państwo – opierający się na zasadach autonomii i niezależności obu podmiotów oraz ich współpracy dla dobra wspólnego. Brakuje jednak podobnego modelu relacji Kościół–społeczeństwo. Teoretycznie wiemy, że nie chodzi o to, aby być Kościołem partyjnym, ale wciąż nie umiemy znaleźć sposobu na to, jak być Kościołem społecznym. W stosunku Kościoła do problemów społecznych brakuje rzeczowego języka. Dominuje nieumiejętność analizowania i hierarchizowania spraw: albo przemilczanie, albo ideologizowanie, albo oskarżanie.

Praktyczny wizjoner

Ciekawym punktem odniesienia dla dzisiejszych prób tworzenia chrześcijańskich inicjatyw łączących duchową głębię wiary z zaangażowaniem społecznym może być działalność ks. Franciszka Blachnickiego.

Sam osobiście właśnie w założonym przez Blachnickiego ruchu oazowym przeżyłem (równocześnie!) inicjację zarówno religijną, jak i obywatelską³. Po raz pierwszy wziąłem tam do ręki Pismo Święte, aby nie tylko je czytać, lecz by odnaleźć w nim wskazówki dla siebie. Po raz pierwszy też dostałem wówczas do ręki ulotki i książki wydawane poza cenzurą, w podziemiu (było to w wakacje roku 1979, tuż po pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski). Tam również uczyłem się II Soboru Watykańskiego – przez doświadczenie, które później stawało się podstawą refleksji.

³ Więcej o ks. Blachnickim piszę w tekście *Maksymalista Blachnicki*, w: Z. Nosowski, *Krytyczna wierność. Jakiego katolicyzmu Polacy potrzebują*, Warszawa 2014. Wykorzystuję tu fragmenty tej publikacji.

Blachnicki wydaje mi się dziś godzien uwagi ze względu na połączenie kilku wymiarów aktywności. Był wybitnym teologiem, pastoralistą, profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, surowo diagnozującym stan polskiej wiary. Pisał o praktycznym ateizmie wierzących, o duszpaństwie bez śladu jakiegóż wizji czy koncepcji, o katechezie prowadzącej do niewiary. A równocześnie był pragmatycznym działaczem, tworzącym od podstaw największy młodzieżowy ruch społeczny w krajach komunistycznych. Był śmiałym wizjonerem – tak w kwestiach religijnych, jak i politycznych. Zapowiadał rozpad komunizmu na długo, zanim to nastąpiło – myślenie o *postsovieticum* (nowym ładzie geopolitycznym w Europie po upadku komunizmu) uznawał nie za utopię, lecz za obowiązek moralny. Inicjował (jeszcze w PRL) akcje prowadzone z wielkim rozmachem, jak „Milion Biblii dla Polski”. A zarazem fundamentalne znaczenie nadał w Ruchu Światło-Życie osobistemu doświadczeniu religijnemu.

Był Blachnicki także nauczycielem myślenia obywatelskiego. Wczesną wiosną 1980 r., pół roku przed strajkiem sierpniowym, nakłonił wszystkich uczestników ruchu do błyskawicznej edukacji obywatelskiej swym wezwaniem

do bojkotu zbliżających się „wyborów” do Sejmu PRL i rad narodowych. *Deklaracja jasnogórska*, uchwalona przez Krajową Kongregację Odpowiedzialnych Ruchu Światło-Życie, jasno uznawała wybory za fikcję. Oazowicze zostali wówczas wezwani

także do udzielania poparcia grupom opozycyjnym, które podjęły walkę o prawdę i sprawiedliwość⁴.

Blachnicki otwarcie mówił i pisał o „polskiej teologii wyzwolenia”. Uznawał działalność na rzecz wyzwolenia człowieka, narodu czy ludzkości za kontynuację zbawczej misji Chrystusa. Był też bezkompromisowym antykomunistą. Obie te postawy uznawał za prostą i konieczną konsekwencję Ewangelii. Antykomunizm prowadził go nawet do krytyki

4 Zob. więcej: Z. Nosowski, *Oazy, drzemiący olbrzym*, „Więź” 1989, nr 4. Tam szczegółowo opisywałem tę deklarację i formacyjną rolę Ruchu Światło-Życie.

polskich biskupów czy rektora KUL za zbytnią ugodowość wobec władz państwowych.

28 lutego 1983 r. władze PRL rozesłały list gończy za ks. Blachnickim, stawiając mu najcięższy zarzut – zdrady kraju. Rozpoczęto olbrzymie śledztwo przeciwko niemu, przesłuchano kilkadziesiąt osób w całym kraju, dokonano licznych rewizji u jego współpracowników. Formalnie śledztwo zostało umorzone dopiero 15 lipca 1992 r., czyli pięć lat

po śmierci podejrzanego. Jak zauważył Andrzej Grajewski, założyciel ruchu oazowego był najdłużej oskarżonym przeciwnikiem politycznym PRL⁵.

⁵ Zob. A. Grajewski, *Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź”* 2001, nr 5.

Człowiek drogą

Przydaliby się i dziś tacy praktyczni wizjonerzy. Stoimy bowiem w obliczu kolejnych trudnych wyzwań dla Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce. Warto w tej sytuacji pamiętać, że jest już za nami jeden bardzo poważny kryzys, który – dokładnie ćwierć wieku temu – zaskakująco szybko został przezwyciężony. Równie szybko został on zresztą zapomniany – i przez ludzi Kościoła, którzy wolą nie wspominać ówczesnych błędów; i przez środowiska niechętne Kościołowi, te bowiem wolą nie dostrzegać, że po spadku zaufania do Kościoła nastąpiło odwrócenie trendu i wyraźny wzrost.

Wnioski z lat 70. i 80., a także 1989–1995 są istotną wskazówką także i dzisiaj. Do wyzwań już znanych doszły zaś przede wszystkim, widoczna już gołym okiem, samosekularyzacja, nowe uwikłania polityczne i odradzający się nacjonalizm. Mądrego Kościoła społecznego potrzeba dziś w Polsce jeszcze bardziej niż w 1993 r. Nie ma tu lepszego drogowskazu niż lekcja z tamtych lat, że społeczny autorytet Kościoła można budować, tylko będąc bliżej społeczeństwa niż państwa; że trzeba umieć na co dzień pokazać, iż drogą Kościoła jest człowiek; że ból ludzi jest bólem Kościoła.



Ociosywanie traumy

Tadeusz Różewicz

Krzysztof Biedrzycki

Po II wojnie światowej twórcy musieli przepracować żałobę, na nowo poukładać wartości, znaleźć klucz do epoki, która odbiera godność, sprowadzając człowieka nie tylko do pozycji zwierzęcia, ale – co gorsze – cyfry w statystykach, bezosobowego bytu w masie.

XX wiek to epoka zmiany języka opisującego świat. Po części sam język zaczął okazywać swoją słabość. Zauważyli to już poeci i prozaicy modernistyczni, którzy na początku tamtego stulecia w rozmaitych ruchach zapowiadających awangardę szukali nowych rozwiązań literackich, niekiedy niełatwych do przyjęcia dla tradycyjnej publiczności.

Z całą ostrością ta słabość języka ujawniła się w środku XX wieku, gdy świat okazał się trudny do opisanego: obie straszne wojny, niepohamowane zbrodnie – to spowodowało, że człowiek, a wraz z nim kultura, niemal oniemiał. Niemal, bo przecież nieusuwalną traumę trzeba było jakoś wyrazić. Zatem szukano formy, badano możliwości, które mimo wszystko język posiada.

Dotyczyło to zresztą nie tylko literatury, ale i filozofii, a także wszystkich innych sztuk, które w tych językach artystycznych, którymi dysponują (obraz, dźwięk, gest itd.), próbowały wyrazić dane człowiekowi doświadczenie. Demaskowały zło, oddawały jego grozę i ohydę, mimo wszystko poszukiwały nadziei, przede wszystkim jednak służyły przepracowaniu traumy zadanej człowiekowi przez historię.

Jest to doświadczenie europejskie, może nawet ogólnocivilizacyjne, znajdujące jednak swój szczególny, specyficzny wyraz w kulturze polskiej. Czy łatwo wskazać osobę, w której te wyzwania minionego stulecia się zogniskowały? Nie, każdy twórca jest wyjątkowy i każdy na swój niepowtarzalny sposób z doświadczeniem historii się zmagają.

Spróbujmy jednak przyjrzeć się bliżej poecie, którego życie niemal dokładnie pokryło się z czasem, o którym mówimy. Tadeusz Różewicz, bo o niego tu chodzi, urodził się tuż po odzyskaniu niepodległości, w 1921 roku. Zmarł już w nowym wieku, w Polsce ponownie wolnej, w roku 2014.

Na nowo poukładać wartości

W twórczości Różewicza skupiają się może wszystkie najważniejsze problemy, z którymi zmagają się polska kultura po roku 1918. Najistotniejszym punktem odniesienia jest straszne doświadczenie II wojny światowej. Słynna fraza „ocalałem / prowadzony na rzeź” odzywa się w naszych uszach jak ostre i przenikliwe brzęczenie, od którego nie można się uwolnić. Z jednej strony – ocalałem, więc żyję, przetrwałem; czyżbym zwyciężył, przechytrył

tych, którzy chcieli mnie zabić? Z drugiej – prowadzony na rzeź! To, co było fundamentem cywilizacji: szacunek dla człowieka, życie wartościami, zakorzenienie w tradycyjnych pojęciach, które nadawały sens współżyciu między ludźmi – to wszystko zostało zanegowane; człowiek nie różni się od zwierzęcia, poddany jest (nazwijmy to tak) prawu rzezi, odebrano mu godność.

Najkrócej jak można – w dwóch liniijkach, czterech wyrazach – została przez Różewicza wyrażona groza doświadczenia, które spadło na ludzkość w połowie XX wieku. II wojna światowa, obie formy totalitaryzmu, Holokaust, ludobójstwo, całkowite przewartościowanie wartości stają się dla Różewicza, ale i dla wielu innych polskich twórców przedmiotem refleksji oraz dramatycznym wyzwaniem. Trzeba przepracować traumę, żałobę, trzeba na nowo poukładać wartości, znaleźć klucz do epoki, która odbiera godność, sprowadzając człowieka nie tylko do pozycji zwierzęcia, ale – co gorsze – cyfry w statystykach, bezosobowego bytu w masie.

Pamięć wojny będzie w Różewiczu do ostatnich dni jego życia boleśnie obecna, jak utkwiony w ciele odłamek. Poeta nie będzie w stanie się od niej wyzwolić. Nawet po kilkudziesięciu latach wojna znowu odezwie się w jego poezji. To wydarzenie było punktem zwrotnym nie tylko w historii Polski, ale właściwie całego cywilizowanego świata, który zaprzeczył swojej wypracowanej przez tysiąclecia kulturze. Nade wszystko jednak była to rana każdego człowieka, który przeszedł przez tamten czas. Rana nie do zagojenia, nie do wyleczenia.

Zrodziło się pytanie: czy o owym bolesnym doświadczeniu w ogóle da się opowiedzieć? Różewicz przejął się słynnym stwierdzeniem Theodora Adorna: „Pisanie wierszy po Auschwitz jest barbarzyństwem”. Niejednokrotnie dawał wyraz swojej niewierze w twórczość poetycką. Zarazem jednak do końca swoich dni był poetą, nigdy nie przestał nim być. Wierzył więc w wiersz czy nie wierzył?

Niewypowiedziane doświadczenie (to zadziwiający paradoks) domagało się wypowiedzenia, żeby nie zostało

Chodziło o oczyszczenie poezji z naddatku dekoracji, ze śpiewności, która służyła sama sobie. Właśnie naddatek wydawał się po Auschwitz barbarzyństwem.



zapomniane, nade wszystko jednak żeby można było traumę przynajmniej w niewielkim stopniu zaleczyć lub raczej – ociosać. Nie dało się tego uczynić za pomocą tradycyjnie pojętej mowy wiązanej. Trzeba było znaleźć inny język.

Pomoc przyszła z wnętrza samej poezji. Poszukiwanie nowego języka już trwało. Przed wojną podejmowały się go kolejne awangardy. Chodziło o oczyszczenie poezji z naddatku dekoracji, z takiej śpiewności, która służyła sama sobie i zasłaniała istotę przekazu. Pierwsza awangarda stawiała na ekonomię języka. Różewicz swoje poszukiwania zaczął właśnie w wyznaczonym przez nią miejscu. Piękne zdania Peipera i metafory Przybosia to jednak dla niego było i tak za dużo estetyki. „Najmniej słów” – to naprawdę miało być najmniej słów. Trzeba było wiersz oczyścić z każdego naddatku, każdej linijki, która nie wносиłaby czegoś nieodzownego. To kwestia poetyki, maksymalistycznie ascetycznej, ale też etyki, odpowiedzialności za słowo. Właśnie naddatek wydawał się po Auschwitz barbarzyństwem.

Różewicz zatem rozwiązywał wewnętrzny modernistyczny problem poetycki, a zarazem (splecione są te sprawy w ciasny węzeł) szukał sposobu wyrażenia doświadczenia, po którym głos zamarł w gardle.

Życie bez boga

Zamarł głos świadka, głos ofiary, ale i głos kogoś, kto utracił wszystkie wiary. I to jest drugi problem. Wiara – zauważyliśmy – dotyczyła poezji, ale dotyczyła też całej kultury, w tym przecież tradycyjnej moralności i religii.

Zacznijmy od religii. Trudno znaleźć drugiego poetę, który tak jednoznacznie i wprost wyrażałby ateizm. A zarazem czynił to z takim natręctwem, że niewiara stała się u niego czy to bolącym cierniem, czy to paradoksalną wiarą w brak Boga, czy to swoistą formą teologii negatywnej, w której nie tyle nawet nie da się nazwać Boga, ile nie da się nic o Nim powiedzieć. Język okazuje się zupełnie niewspółmierny – cokolwiek wyrazimy, zawsze to będzie nie to.

Przeczytamy zatem: „życie bez boga jest możliwe / życie bez boga jest niemożliwe”. Bez boga, właśnie tak to słowo jest napisane, a więc bez jakiegokolwiek metafizycznego punktu odniesienia, nie tylko bez Boga religii. Takie życie „jest możliwe”: da się żyć, na bezbożnika nie spadają z nieba plagi. Zarazem takie życie „jest niemożliwe” – bo mimo wszystko się nie da, bo metafizyka w końcu do człowieka zapuka; bo w takiej sytuacji ono, życie, jest nie do zniesienia, gdyż brakuje w nim nadrzędnej sankcji i sensu.

W przywołanym wcześniej wierszu *Ocalony* padły słowa: „Widziałem: / furgony porąbanych ludzi / którzy nie zostaną zbawieni”. Tragedia polega na tym, że rzeź została dokonana na ludziach pozbawionych religijnej nadziei, czy inaczej – tej religijnej nadziei nie ma, bo nie ma zbawienia, byt ludzki jest wyłącznie cielesny, materialny, dlatego tak łatwo go unicestwić. Najdramatyczniej, bo najdosłowniej, wyznanie zabrzmiało w wierszu o znaczącym tytule *Lament*: „Nie wierzę w przemianę wody w wino / nie wierzę w grzechów odpuszczenie / nie wierzę w ciała zmartwychwstanie”. Kim jest ów lamentujący? To człowiek po utracie fundamentu? Co jest jego problemem: sama wiara czy wyrażający ją język? Język bezradny w mówieniu o eschatologicznej nadziei, bo rozbija się on o konkretne, a przekraczające wyobraźnię doświadczenie.

Spadanie w bok

Bezradna jest cała kultura. Jej dorobek został zakwestionowany. I to jest kolejne doświadczenie niewiary. Uzasadnienia etyki, piękna, wzniosłości przestały odgrywać jakąkolwiek rolę. Miejsce patosu zajęła groteska. W twórczości Różewicza, zwłaszcza dramatycznej, choć nie tylko, świat podlega ośmieszeniu. A raczej: świat sam się ośmiesza. Bo jest trywialny, banalny, uwięziony w złudnych wartościach.

Różewicz pokazuje władzę kultury masowej, poddawanie się ludzi dyktaturze mody czy popularności. To, co

z perspektywy wojny jest tragicznym zanegowaniem tradycyjnych reguł wartościowania, w rzeczywistości powojennej staje się groteskowym rozmyciem jakichkolwiek dystynkcji. Istnienie we współczesnym świecie to tylko spadanie. W dodatku spadanie nie w dół, ale poziomo, bo zatraciliśmy orientację, co jest górą, co dołem, gdzie znajdują się dobro i piękno, a gdzie zło i brzydota.

Jedyną niekwestionowaną formą istnienia ludzkiego u Różewicza jest cielesność. Nie potrafimy nic powiedzieć o duszy, o przeznaczeniu człowieka, ale potrafimy wskazać na minimum tożsamości: ciało. Tyle że ciało u Różewicza, jak to wprost powiedział w poemacie o obrazie Francisa Bacona, utożsamione zostaje z... mięsem. Nie ma tu wzniosłości, jest tylko fizjologia. I niczym u Heideggera – zmierzanie ku śmierci. To nie jest tradycja wanitatywna, w której ciało jest traktowane jako marna przypadłość, ale istnieje nadzieja dla duszy. To brutalne, prowokacyjne stawianie równania: ludzkie mięso i poza tym nic. Najdotkliwiej ta przemiana człowieka w mięso dokonywała się w trakcie wojennej rzezi. W istocie to jednak sprawa ponadhistoryczna. Taka wydaje się po prostu zasada bytu.

1 K. Wyka, *Dwa razy Różewicz*, w: tenże, *Rzecz wyobraźni*, Warszawa 1977, s.377.

Człowiek to wyłącznie *soma*, a jego celem jest trumna. Dlatego Kazimierz Wyka twórczość Różewicza skomentował krótko: wyraża się w niej „somatyzm dotrumienny”¹.

Świat to śmietnik, tradycja to stare dekoracje. Poezja traci swoją moc. Język jest bezradny. Religia to już tylko wspomnienie. Co zostaje? Łatwo byłoby powiedzieć, że przez Różewicza przemawia nihilizm. Tak jednak nie jest, skoro mimo wszystko on usilnie pisze, język religijny wraca u niego natrętnie, w tle pojawia się cała kultura ze swoim pełnym bagażem (mnóstwo u Różewicza odniesień do rozmaitych tradycji). Zresztą w istocie nihilizm najczęściej jest rewersem moralizmu, tym gorętszego, że o niepewnych podstawach; to – paradoksalnie – rozpaczliwe wołanie o ład.

Świat to śmietnik, tradycja to stare dekoracje. Poezja traci swoją moc. Język jest bezradny. Religia to już tylko wspomnienie. Co zostaje?



Tak, Różewicz był moralistą. Jego zniechęcenie i widzenie współczesnego świata w ciemnych barwach wynikało z ogromnej potrzeby wartości. Gorzki śmiech, przepojony rozpaczą patos, brutalność, demaskowanie języka brały się z niezgody na świat XX wieku pozbawiający sam siebie niewinności. U Różewicza skupiło się wiele z tego, z czym cała kultura musiała się zmierzyć. Praca nad traumą i doświadczenie ostrego kryzysu metafizyki, poczucie rozbicia form i tęsknota za ocalającą funkcją kultury, ostre stawianie ostatecznych pytań i prześmiewcze rozbrajanie wzniosłości. Sytuuje się on między Gombrowiczem a Miłoszem, między Wajdą a Nowosielskim, między Kantorem a Biało-szewskim, w każdym z wyrażanych wprost lub zawartych w ich utworach immanentnych sporów. W ciągłej debacie o sprawach najważniejszych.

Osobność

Różewicz zaistniał w literaturze tuż po wojnie. Od razu zwrócił na siebie uwagę, powitał go Czesław Miłosz w wierszu *Do Tadeusza Różewicza, poety*: „Chwała stronie świata która wydaje poetę!”. Krytyka uznała go za wyraziciela pokolenia. Tak było przez dziesięciolecia. W tym czasie poeta jednak usunął się na margines życia literackiego, na długo zamieszkał w Gliwicach, a potem przeprowadził się do Wrocławia, miasta wielkiego i ważnego dla polskiej kultury powojennej, ale jednak niebędącego Warszawą ani Krakowem (z wszystkimi towarzyskimi tego konsekwencjami).

Różewicz pilnował swojej osobności. Był w głównym nurcie literackim, a zarazem się od niego dystansował. Niechętnie ulegał polityce, owszem, w jakimś stopniu poddał się socrealizmowi, ale potem już starał się być daleko od wszelkich politycznych uwikłań, co skądinąd spowodowało znaczne zmarginalizowanie go w latach 80., gdy nie chciał się jednoznacznie opowiedzieć po żadnej ze stron konfliktu. To był zresztą dla niego czas swoistego czyścica

poetyckiego; za poetę pokolenia i autorytet był wtedy uznawany Herbert. Różewicz wrócił z nową siłą zaraz na początku lat 90., dużo publikował, był aktywny do końca życia. Zarazem nigdy nie stał się postacią tak potężną i wpływową jak choćby Miłosz.

Moja lektura Różewicza nigdy nie była jednoznaczna. Bywało, że mnie irytował. Nawet nie diagnozami, bo w sumie podobne można było znaleźć u Miłosza, Herberta czy Szymborskiej. I nie pesymizmem czy brutalnością, bo to było częste w kulturze drugiej połowy XX wieku, a w naszym stuleciu jest jeszcze częstsze. Raczej czymś, co na własny rachunek nazwałem „szantażem emocjonalnym” – czułem się w jakiś sposób przymuszony przez niego do odczucia przerażenia i rozpacz. Asceza języka nie wystarczała, żeby ukryć silne afekty. Kiedy jednak wchodziłem w tę twórczość głębiej, coraz wyraźniej jawiła mi się wyjątkowa pozycja Różewicza w literaturze polskiej, a równocześnie to, że w nim jak w soczewce skupiało się wszystko, do czego nasza kultura czuła się powołana – opisanie współczesnego świata w całej jego komplikacji. Oczywiście, jest Różewicz jednym z wielu, bo dorobek kultury polskiej po 1918 roku musi imponować. Jak inni wielcy domaga się ciągle nowej lektury, bo stawia nam najtrudniejsze pytania, które wynikają z doświadczenia współczesnej cywilizacji.

Kultura polska minionych stu lat sprostała wyzwaniu. Opisała świat. Toczyły się bardzo ważne spory o rzeczywistość, historię, traumę i wyrażający je język. Nie ma rozstrzygnięć, bo nie może ich być. To ciągły dialog, w którym wyrażane są rozmaite, niekiedy sprzeczne stanowiska. Wspólny jest jednak niepokój. Choć życiowe doświadczenia poszczególnych twórców się różniły, to łączyło ich odczucie zagrożenia wartości i niepewności w świecie wytraconym z tradycyjnych kolein. Ociosanie traumy w dużej mierze pomogło, choć terapia trwa, bo doznanego cierpienia nigdy nie da się do końca ukoić. Przed kulturą stoją kolejne wyzwania.

Autorzy

Bartosz Bartosik – ur. 1989. Studiował psychologię i slawistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Od kwietnia 2016 r. sekretarz Laboratorium „Więzi”. Współpracownik magazynu „Dywiz. Pismo katolickie”. Związany ze Wspólnotą Sant’Egidio. Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Biedrzycki – ur. 1960. Historyk literatury XX wieku, krytyk literacki i filmowy, badacz edukacji, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Instytutu Badań Edukacyjnych. Wykładał literaturę polską w Stanach Zjednoczonych i Francji. Autor m.in. książek *Świat poezji Stanisława Barańczaka*, *Małgorzata Musierowicz i Borejkwowie*, *Wariacje metafizyczne*, *Poezja i pamięć*, serii podręczników do języka polskiego dla liceum *Opowieść o człowieku* oraz *Świat do przeczytania*. Mieszka w Warszawie.

Ewa Buczek – ur. 1983. Sekretarz redakcji kwartalnika „Więź”, redaktorka prowadząca reporterski dział „Czytanie świata”. Członkini Zespołu Laboratorium „Więzi”. Współzałożycielka internetowego magazynu „Dywiz. Pismo katolickie”. Publikowała w „Więzi”, „Tygodniku Powszechnym”, „W Drodze” i „Kontakcie”. Żona i mama. Mieszka w Warszawie.

Beata Chomątowska – pisarka, dziennikarka, prezeska Stowarzyszenia Inicjatyw Społeczno-Kulturalnych Stacja Muranów, stała współpracowniczka „Tygodnika Powszechnego”. Autorka książek: *Stacja Muranów, Pałac. Biografia intymna, Lachert i Szanajca. Architekci awangardy, Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie* oraz *Betonia. Dom dla każdego*. Mieszka w Warszawie.

Andrzej Kerner – ur. 1961. Od 23 lat redaktor i reporter „Gościa Niedzielnego” w Opolu, od 2009 r. szef opolskiego oddziału GN. Autor kilku książek; ostatnia z nich to *Bóg urodził się na Wschodzie* (2016). Publikował także m.in. w „Więzi”, „W Drodze”, „Pastores”, „Śląsku”. Mieszka w Kędzierzynie-Koźlu.

Agnieszka Magdziak-Miszewska – publicystka, dyplomata. Ukończyła filologię polską i teatrologię. Pracowała w redakcji „Więzi” od 1984 r., w latach 1995–2000 jako zastępca redaktora naczelnego. Była doradcą premiera Jerzego Buzka ds. polsko-żydowskich (1997–1999). Pracowała w polskiej dyplomacji: w Moskwie (1991–1995), Nowym Jorku (jako konsul generalny, 2001–2005) oraz jako ambasador Polski w Izraelu (2006–2012). W latach 2012–2016 pracowała w Ministerstwie Obrony Narodowej jako doradca wiceministra Roberta Kupieckiego i wicedyrektor Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych. Od roku 2000 jest członkiem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej.

Zbigniew Nosowski – ur. 1961, absolwent socjologii i teologii. Od 1989 r. redaktor „Więzi”, od 2001 r. – redaktor naczelny. Autor książek *Parami do nieba. Małżeńska droga świętości*, *Szare a piękne. Rekolacje o codzienności*, *Polski rachunek sumienia z Jana Pawła II*, *Krytyczna wierność. Jakiego katolicyzmu Polacy potrzebują*. W latach 2001 i 2005 był świeckim audytorem Synodu Biskupów w Watykanie. W latach 2002–2008 konsultor Papieskiej Rady ds. Świeckich. Chrześcijański współprzewodniczący Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów w latach 2007–2009 i ponownie od 2017 r. Doktor honoris causa Uniwersytetu Szczecińskiego. Dyrektor programowy Laboratorium „Więzi”. Mieszka w Otwocku.

Stanisław Zakroczymski – ukończył historię, kończy prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Redaktor „Magazynu Kontakt”, współtwórca inicjatywy „Prawo do prawa – kancelaria zaangażowana społecznie”, współpracownik Domu Spotkań z Historią. W roku 2017 opublikował w Wydawnictwie „Więź” wywiad rzekę z prof. Adamem Strzemboszem *Między prawem i sprawiedliwością*.

